

Stanisław Lem

Prowokacja

Prowokacja

HORST ASPERNICUS: *Der Völkermord. I. Die Endlösung als Erlösung. II. Fremdkörper Tod*, Getynga 1980

Książką ta przedstawiano, co wszyscy ludzie naraz robią w ciągu jednej minuty. Tak powiada wstęp. Zadziwiające, że nikt nie wpadł na ten pomysł wcześniej. Sam się napraszał po *Trzech pierwszych minutach Kosmosu*, po *Sekundzie Kosmosu* i po *Księdze rekordów Guinnessa*, zwłaszcza że były to bestsellery, a nic tak nie podnieca dziś wydawców i autorów, jak książka, której nikt nie musi czytać, ale każdy powinien mieć. Po tamtych książkach koncept był już gotowy i leżał wprost na ulicy, wystarczyło go podjąć. Ciekawe, czy J. Johnson i S. Johnson to małżeństwo, bracia czy tylko pseudonim. Chętnie zobaczyłbym zdjęcia tych Johnsonów. Choć niełatwo to wytłumaczyć, bywa, że kluczem do książki jest wygląd autora. Ze mną przynajmniej nieraz już tak bywało. Lektura wymaga zajęcia określonej pozycji „wobec tekstu, jeżeli tekst nie jest konwencjonalny. Twarz autora może wtedy wiele wyjaśnić. Myślę sobie jednak, że ta para Johnsonów nie istnieje, a S. przed nazwiskiem drugiego Johnsona to aluzja do Samuela Johnsona. „Może to zresztą nie takie znów ważne. Jak wiadomo, wydawcy nie boją się niczego tak, jak wydawania książek, gdyż w pełni już działa tak zwane prawo Lema („Nikt nic nie czyta; jeśli czyta, nic nie rozumie; jeśli rozumie, natychmiast zapomina”), ze względu na powszechny brak czasu, nadmierną podaż książek oraz zbytnią doskonałość reklamy. Reklama jako Nowa Utopia jest obecnie przedmiotem kultu. Te okropne bądź nudne rzeczy, jakie widać w telewizji, oglądamy wszyscy dlatego (wykazały to badania opinii publicznej), bo cudnym wytchnieniem po widoku gładzących polityków, krwawych trupów leżących z różnych przyczyn w różnych częściach świata oraz kostiumowych filmów, w których nie wiadomo, o co chodzi, gdyż są to nie kończące się seriale (zapomina się nie tylko przeczytane, lecz i obejrzone) — są wstawki reklamowe. Już tylko w nich pozostała Arkadia. Są w niej piękne kobiety, wspaniali mężczyźni, też całkiem dorośli, szczęśliwe dzieci oraz starsze osoby o rozumnym spojrzeniu, przeważnie w okularach. Do bezustannego zachwyty wystarczy im budyń w nowym opakowaniu, lemoniada z prawdziwej wody, spray przeciw poceniu się nóg, papier klozetowy napojony ekstraktem fiołków albo szafa, choć i w niej nie ma nic nadzwyczajnego prócz ceny. Wyraz szczęścia w oczach, w całej twarzy, z jakim wytworna piękność wpatruje się w rolkę papieru higienicznego albo otwiera tę szafkę, jakby to były drzwi Sezamu, udziela się na mgnienie każdemu. W owej empatii jest też może i zawiść, i nawet trochę irytacji, bo każdy wie, że on nie mógłby doznać takiego zachwyty pijąc tę lemoniadę lub używając tego papieru, że do tej Arkadii nie można się dostać, ale jej świetlana pogoda robi swoje. Zresztą od początku było mi jasne, że doskonała się w walce towarów o byt, reklama ujarzmi nas nie przez coraz lepszą jakość towarów, lecz wskutek coraz gorszej jakości świata. Cóż nam zostało po śmierci Boga, wyższych ideałów, honoru, bezinteresownych uczuć, w zatłoczonych miastach, pod kwaśnymi deszczami, prócz ekstazy pań i panów z reklamówek, głoszących keksy, budynie i smary jak przyjdzie Królestwa Niebieskiego? Ponieważ jednak reklama z potworną skutecznością przypisuje doskonałość wszystkiemu, więc przy książkach — każdej książce, człowiek czuje się jak uwodzony przez dwadzieścia tysięcy miss świata naraz i nie mogąc się zdecydować na żadną, trwa w nie spełnionym pogotowiu miłosnym jak baran w stuporze. Tak jest ze wszystkim. Telewizja kablowa, dostarczając czterdzieści programów naraz, wywołuje w widzu wrażenie, że skoro jest ich tyle, każdy inny musi być na pewno lepszy od oglądanego, więc skacze od programu do programu jak pchła na rozżarzonej patelni, na dowód, że doskonała technika doskonale frustruje. Obiecano nam mianowicie, choć nikt, tego aż tak wyraźnie nie powiedział, cały świat, wszystko, jeśli nie do posięcia, to przynajmniej do obejrzenia i pomacania, a literatura piękna, która jest wszak tylko echem świata, jego podobizną i komentarzem, wpadła w tę samą pułapkę. Dlaczego właściwie miałbym czytać, co pojedyncze osoby różne/ bądź tej samej płci mówią, nim pójda do łóżka,

jeśli nie ma tam słowa o tysiącach innych, może znacznie ciekawszych osób, albo przynajmniej takich, co robią rzeczy bardziej pomysłowe. Należało tedy napisać książkę o tym, co robią Wszyscy Ludzie Naraz, ażeby wrażenie, że dowiadujemy się głupstw, podczas gdy Rzeczy Istotne zachodzą Gdzieś Indziej, nie stanowiło już naszej udręki.

Tom pierwszy otwiera, jak przystało na rozległy zamiar, rozpatrzenie stosunków panujących wśród zwierząt. Autor zajmuje się drapieżnikami, które zabijają z instynktu, aby żyć. Podkreśla, że drapieżnik, zwłaszcza wielki, nie zabija nad potrzeby własne i świty swych komensali, jak bowiem wiadomo, każdy drapieżny gatunek ma taką świtę, złożoną ze słabszych zwierząt, które korzystają z jego niedożartych łupów. Niedrapieżne zwierzęta stają się agresywne tylko w okresie rui. Do wyjątków należą jednak wypadki, w których walka samców konkurujących o samicę kończy się śmiercią rywala. Bezinteresowne zabijanie to zjawisko wśród zwierząt bardzo rzadkie. Jeszcze najczęściej można je spotkać wśród zwierząt zdomestykowanych.

Inaczej u człowieka. Jak notują kroniki, starcia wojenne od najdawniejszych czasów przerastały w masowy mord pokonanych. Pobudki były na ogół praktyczne: likwidując także potomstwo zwyciężonych, zwycięzca zabezpieczał się przed przyszłym odwetem. Takie rzezie były w starożytnych kulturach zupełnie jawne, wręcz ostentacyjne, skoro kosze odciętych członków i genitaliów uczestniczyły w triumfalnym pochodzie zwycięzców jako eksponaty sukcesu. Nikt też w starożytności nie kwestionował tego prawa zwycięzców. Zabijali pokonanych lub brali ich w niewolę podług rachuby czysto rzeczowych korzyści.

Aspernicus pokazuje na obfitym materiale, jak doszło do stopniowego obwarowania reguł wojennych ograniczeniami, widomymi w kodeksach rycerskich, choć ograniczeń tych nie przestrzegano w wojnach domowych, gdyż nie dobitny przeciwnik wewnętrzny był groźniejszy od zewnętrznego wroga, co tłumaczy, dlaczego katolicy srożej tępił katarów od saracenów.

Powolny wzrost ograniczeń doprowadził wreszcie do porozumień w rodzaju konwencji haskiej. Ich istota w tym, że wojenny sukces i mord pokonanych mają być trwale rozłączone. Pierwszy w żadnym wypadku nie może pociągnąć za sobą drugiego. W rozłączności tej, upatrywano postęp, zachodzący w etyce konfliktów wojennych. Akty ludobójcze zdarzały się i w nowożytności, lecz obca im była zarówno archaiczna ostentacja, jak dobitna interesowność sprawców. Tu przechodzi Aspernicus do badania racjonalizacji, wysuwanych w różnych wiekach jako uzasadnienie ludobójstwa.

W świecie schrystianizowanym stały się te racjonalizacje zjawiskiem powszechnym. Dodać trzeba zresztą, że ani wyprawom kolonizacyjnym, ani poborom afrykańskiego niewolnika, ani wcześniej wyzwalaniu Ziemi Świętej czy rozbiciu państw Indian południowoamerykańskich nie patronowała wprost intencja ludobójcza, jako że szło o siłę roboczą, o nawracanie pogan, o zabór ziem zamorskich i rzezie aborygenów oznaczały pokonywanie przeszkód na drodze do celu. Można jednak wykryć w chronologii genocydów spadek interesowności jako składowej motywacyjnej względem składowej uzasadnień, czyli rosnącą przewagę pożytku duchowego nad pożytkiem materialnym sprawców. Prekursorstwo ludobójstwa hitlerowskiego widzi Aspernicus w rzezi Ormian przez Turków podczas pierwszej wojny światowej, gdyż zdobyła już pełnię cech nowożytnego ludobójstwa: nie przyniosła Turkom żadnych korzyści istotnych, a zarazem rzeź ta została w pobudkach zakłamana, a przed światem jak się dało ukryta. Albowiem według autora nie ludobójstwo tout court stanowi znamię XX wieku, lecz mord o totalnie sfalszowanym uzasadnieniu, maskowany w przebiegu i skutkach tak dobrze, jak to jest możliwe. Materialne korzyści, idące z grabieży ofiar, były na ogół nikłe, albo wręcz było tak, jak w przypadku Żydów i Niemców: judeocyd jest w bilansie państwowym Niemiec materialno — kulturową stratą, co na wielkim materiale faktograficznym udowodnione zostało po wojnie przez niemieckich autorów. Na przestrzeni dziejów nastąpiło tedy dokładne odwrócenie sytuacji wyjściowej: czy to militarna, czy gospodarcza korzyść z praktyki ludobójczej z rzeczywistej

stała się urojoną i to właśnie wywołało potrzebę zupełnie nowych uzasadnień mord. Jeśliby te uzasadnienia zdobyły moc argumentów zniewalających, to wykonywanych podług nich masowych wyroków śmierci nie trzeba by ukrywać przed światem. Lecz skoro wszędzie je ukrywano, nie były widać przekonywające dostatecznie nawet dla aktywistów genocydu. Aspernicus uważa, że jest to diagnoza frapująca, a zarazem podług faktów nie do zbicia. Jak wskazują na to zachowane dokumenty, hitleryzm przestrzegał w ludobójstwie następującej gradacji: narodom dziesiątkowanym wśród podbitych, jak słowiańskim, część egzekucji obwieszczano publicznie, natomiast grupom likwidowanym totalnie, jak Żydzi i Cyganie, nie podawano analogicznie do wiadomości straceń w ich toku. Im bardziej totalny był mord, tym większa osłaniała go tajność.

Aspernicus bada zespół tych zjawisk metodą kolejnych penetracji, które mają docierać do coraz głębszych motywów ludobójstwa. Najpierw pokazuje na mapie Europy gradient skierowany z Zachodu na Wschód, idący od bieguna tajności po biegun jawności, lub, w kategoriach moralnych, od mordu wstydliviego do bezwstydnego. To, co Niemcy robili w Europie Zachodniej lokalnie, sekretnie, niemasowo i z wolna, podejmowali na Wschodzie w rosnącej skali, gwałtownie, coraz bezwzględniej i jawniej, poczynając od granic zaboru polskiego, czyli General Gouvernement, przy czym im dalej na wschód, tym jawniej stawał się genocyd normą do niezwłocznego stosowania: często mordowali Żydów na miejscu ich zamieszkania, nie odosobniając ich w gettach ani nie przewożąc do obozów straceń. Autor sądzi, że to zróżnicowanie świadczyło o hipokryzji ludobójców, którzy krepowali się robić na zachodzie to, co robili na Wschodzie, gdzie już nie dbali o zachowanie pozorów.

Program „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” krył w swym załączku rozmaite warianty o nie tożsamym nasileniu okrucieństwa, lecz o identycznym finale. Aspernicus słusznie powiada, że był do urzeczywistnienia wariant niekrwawy, a zarazem militarnie i gospodarczo bardziej korzystny dla III Rzeszy, poprzez rozdzielenie płci i odosobnienie ich w gettach bądź obozach. Skoro Niemcy nie uwzględniali w wyborze postępowania czynników etycznych, winni byli uwzględnić przynajmniej czynnik własnej korzyści, niewątpliwej w tym wariantcie, zwalniającym znaczną ilość taboru kolejowego (jakim Żydów z gett przewożono do obozów straceń) dla potrzeb wojennych, redukującym liczebność oddziałów, skierowanych do eksterminacji (bo dozór gett wymagałby sił daleko szczuplejszych), zmniejszającym też obciążenie przemysłu, który musiał produkować krematoria, młyny kości ludzkich, cyklon i inne ludobójcze utensylia. Rozdzieleni Żydzi wymarliby do 40 lat najwyżej, gdy zważyć w jakim tempie ludność gett topniała od głodu, chorób i wycieńczenia pracą przymusową. Tempo takiego upośrednionego ludobójstwa było sztabowi „Endlösung” znane na początku 1942 roku i gdy zapadły decyzje ostateczne, sztab ten mógł w pełni jeszcze liczyć na niemieckie zwycięstwo, toteż żadne czynniki nie przemawiały za rozwiązaniem we krwi prócz woli mord.

Jak świadczą o tym zachowane dokumenty, Niemcy badali też ewentualność innych metod, na przykład obojętowania przez naświetlanie promieniami Roentgena, lecz w końcu zdecydowali się na rzeź. Dla historii Niemiec, oświadcza Aspernicus, dla zważenia ich winy, dla światowej polityki w czasie powojennym, konkretny wariant judeocydu nie miał żadnego znaczenia, bo i bez niego obciążały III Rzeszę zbrodnie wojenne kwalifikujące do kary głównej. Nie jest też mniejszym przestępcą ten, kto wyniszcza jakiś naród przymusową sterylizacją lub izolacją płci od tego, kto go morduje. Lecz dla psychosocjologii zbrodni, dla analizy doktryny hitlerowskiej, dla teorii człowieka różnica jest kapitalna. Himmler uzasadniał judeocyd wobec swych współpracowników potrzebą eksterminacji Żydów, by nigdy nie mogli zagrozić państwu niemieckiemu. Lecz gdy wziąć istnienie takiego zagrożenia za dobrą monetę, wariant upośrednionego ludobójstwa okazuje się najoszczędniejszy materialnie, technicznie i organizacyjnie. Himmler kłamał więc swoim ludziom, a bodajże i samemu sobie. Sprawa ta uległa przesłonięciu przez późniejsze zajścia, gdy Niemców jęły

nękać kłęski, przyszło do wielkich odwrotów i zarazem do prób zacierania śladów masowych egzekucji przez palenie ekshumowanych zwłok. Gdyby dopiero wówczas doszło do krwawego genocydu, można by uwierzyć w autentyczność przekonań Himmlerów i Eichmannów, jakoby ponaglił ich do mordów lęk przed odwetem zwycięzców. Lecz skoro tak nie było, Himmler kłamał także, zrównując Żydów z pasożytami do wyniszczenia, ponieważ pasożytów nie niszczy się z premedytacją zadawania mąk.

Jednym słowem, szło nie tylko o korzyść z dokonanej zbrodni, lecz o satysfakcję płynącą z samego jej wykonywania. Jeszcze w 1943 roku — a bodaj i później — Hitler i jego sztab mogli żywić wiarę w zwycięstwo Niemiec — a „zwycięzców nikt nie sędzi”. Dlatego bardzo trudno jest wyjaśnić, czemu akty ludobójcze nie uzyskały pełnej afirmacji w ich toku, czemu nawet w dokumentach ściśle tajnych były maskowane kryptonimami w rodzaju „Unrsiedlung”, a więc przesiedlenia, oznaczającego stracenie. Aspernicus sądzi, że w tej dwujęzyczności przejawia się wysiłek przywodzenia tego, co nieprzywiedlne. Niemcy mieli być szlachetnymi Ariami, pierwszymi Europejczykami, bohaterskimi zwycięzcami, a zarazem zabójcami bezbronnych. Pierwsze głosili, drugie zaś robili, i stąd poszedł objętościowy słownik przemianowań i fałszerstw w rodzaju „Arbeit macht frei”, „Umsiedlung”, czy właśnie samej „Endlosung” jako eufemizmów zbrodni. Właśnie w tym zakłamaniu objawia się, zdaniem autora, wbrew aspiracjom hitleryzmu — przynależność Niemiec do kultury chrześcijańskiej, gdyż byli zaimpregnowani tak, że mimo najlepszej woli wykroczenia poza Ewangelię, nie ze wszystkim mogli to uczynić. W kręgu tej kultury, powiada autor, gdy już wszystko można zrobić, nie wszystko można jeszcze powiedzieć. Kultura ta jest faktem nieodwracalnym, bo jeśliby tak nie było, to Niemcy nie mieliby żadnych zahamowań w nazywaniu po imieniu swych czynów. Pierwszy tom pracy Horsta Aspernicusa, zatytułowany *Die Endlosung als Erlösung*, zawiera przegląd podejmowanych w ostatnim czasie prób ogłoszenia prawdy o ludobójstwie III Rzeszy fałszerstwem i kłamstwem, jakim zwycięzcy posłużyli się dla moralnego dobicia pokonanych Niemiec. Byłaby jednak taka działalność — negacji tego, co wezbrało górami dokumentalnych zdjęć, zeznań, pohlterowskich archiwów, usypiskami włosów zgolonych z kobiecych głów, protez po zabitych kalekach, zabawek wymordowanych dzieci, okularów, palenisk krematoryjnych — byłaby taka próba czymś innym aniżeli przejawem obłędu? Czy dla nieszalonego możliwe jest nazwanie nieusuwalnych dowodów zbrodni — fałszerstwem? Gdyby problem redukowal się do psychiatrycznego, gdyby obrońcy hitleryzmu prawdziwie byli wariatami, niepotrzebna byłaby praca Aspernicusa, który sięgnął do amerykańskich badań nad członkami tamtejszej partii hitlerowskiej, by zacytować specjalistów w ich diagnozie, że neohitlerowcom nie można odmówić normalności umysłowej, choć psychopaci trafiają się wśród nich częściej niż w pozostałej populacji. Toteż problem nie daje się przekreślić jako ograniczony do psychiatrycznej profilaktyki, a tym samym zbadanie go staje się obowiązkiem filozofii człowieka. Tu dociera czytelnik do diatryby, jaką autor wymierzył w szanownych filozofów w rodzaju Heideggera. Nasz autor nie ma za złe Heideggerowi przynależności do partii hitlerowskiej, z której filozof ten rychło wystąpił, albowiem podaje za okoliczność łagodzącą, że w latach trzydziestych ludobójcza konsekwencja hitleryzmu nie była łatwa do rozpoznania. Omyłki są wybacalne, jeśli prowadzą do zmiany błędnego stanowiska i do działań, jakich ta zmiana się domaga. Aspernicus nazywa siebie minimalistą w tym postulatcie. Nie utrzymuje, by Heidegger lub ktoś taki jak on był zobowiązany do wystąpień w obronie prześladowanych, i że należy go potępić za niedostatek odwagi po temu: nie każdy rodzi się do aktów heroicznych. Rzecz w tym, że Heidegger był filozofem. Ten, kto zajmuje się naturą bytu człowieka, nie może przejść mimo zbrodni hitlerowskich milcząc. Jeśliby bowiem uznał, że zbrodnia ta była umiejscowiona w porządku bytu „niższym”, więc miała charakter tylko kryminalny, niezwykle jedynie rozmiarami, do jakich rozděła ją moc państwa i że zajmować mu się nią nie przystoi dla tych samych powodów, dla jakich filozofia nie bada pospolitych

przestępstw, bo nie umieszcza na czele swej problematyki tego, co bada kryminologia, jeśli tak właśnie uznał, to albo jest ślepcem, albo kłamcą. Jeśli nie dostrzega pozakryminalnego znaczenia tej zbrodni, to jest umysłowo niewidomy, czyli głupcem, jakież jednak z głupca filozof, choćby potrafił dzielić włos na czworo? A jeśli milczy z zakłamania, to też sprzeniewierza się swemu powołaniu. Tak czy owak okazuje się współnikiem zbrodni, oczywiście nie w jej planowaniu ani wykonaniu, takie oskarżenie byłoby pieniaczym oszczerstwem. Staje się współnikiem zbrodni z zaniechania, ponieważ zdegradował ją, unieważnił, strącił na daleki margines spraw jakoby donioślejszych, przydzielił jej w bytowym porządku miejsce peryferyjne, jeśli w ogóle tam figurujące. A przecież lekarz, który za nieistotne ma objawy śmiertelnej choroby, który przemilcza ją samą, jej symptomy lub skutki, jest albo marnym lekarzem, albo sojusznikiem choroby — i *tertium non datur*. Kto się zajmuje zdrowiem człowieka, nie może zlekceważyć zabójczej choroby i wyłączyć jej z obszaru studiów, a kto się zajmuje ludzkim bytem, ten nie może wytrącić ludobójstwa z jego porządku. Jeśli to czyni, tym samym unieważnia swoje dzieło. To właśnie, że człowiekowi nazwiskiem Heidegger wytykano wsparcie, jakiego udzielił doktrynie hitlerowskiej osobiście, lecz zarzut ten nie został skierowany do jego dzieł, głuchych w całym tym zakresie, poświadczą zdaniem naszego autora istnienie zмовы współwinnych. Współwinni są wszyscy, którzy godzą się na pomniejszenie rangi tej zbrodni w porządku ludzkiej egzystencji.

Hitleryzm dorobił się wielu wykładni. Autor Ludobójstwa wymienia spośród nich trzy jako obiegowe: gangsterską, socjoekonomiczną i nihilistyczną. Pierwsza zrównuje ten genocyd z morderczą działalnością rabunkową, i ją właśnie w ośrodek publicznej uwagi wprowadziły procesy norymberskie, gdyż trybunałom, wyłonionym przez zwycięzców, najłatwiej było porozumieć się w aktach oskarżenia opartych na tradycyjnej procedurze sądów rozpoznających przestępstwa pospolite, a to ponieważ góry potwornych dowodów rzeczowych kierowały samym swym istnieniem postępowanie na tę drogę. Wykładnia socjoekonomiczna czyni słabość republiki weimarskiej, kryzys gospodarczy, pokusy, jakim uległ wielki kapitał wzięty w kleszcze lewicy i prawicy, zespołem przyczyn, co umożliwiły Hitlerowi przejęcie władzy.

Na koniec socjalizm narodowy jako triumfujący nihilizm osobliwie fascynował wielkich humanistów jak Tomasz Mann, który dopatrywał się w nim „drugiego głosu” w historii Niemiec, motywu diabelskiego kuszenia i w *Doktorze Faustusie* przeprowadził go ze średniowiecza poprzez apostazję Nietzschego w dwudziesty wiek. Wykładnie te są tylko częściowo zasadne. Gangsterska pomija w ruchu jego dogłębne zakłamanie. Gangsterzy nie uciekają się w swych zмовach do eufemizmów ani kłamstw upiększających zbrodnie. Socjoekonomiczna nie dociera do różnicy między faszyzmem włoskim a hitleryzmem, niebagatelnej, skoro Mussolini nie został instygatorem ludobójstwa. Wreszcie koncepcja Mannowska jest nadto ogólnikowa w swej tezie, czyniącej Niemcy — Faustem, a Hitlera — szatanem. Tak więc nazi jako gangster jest zbanalizowaniem problemu nazbyt trywialnym, a jako sługa diabła jest banałem koturnowym. Prawda o hitleryzmie nie jest ani tak płaska, ani tak wyniosła, jak chcą oba te przeciw—obrazy. Rozpoznanie hitleryzmu weszło w labirynt diagnoz częściowo zgodnych ze sobą, a częściowo skłóconych, bo jego zbrodnie są na powierzchni trywialne, lecz ich głęboki sens jest potajemnie perfidny. Ten głęboki sens nie inspirował przywódców ruchu, dopóki stanowili garść polityków—arywistów, i nie uświadomili go sobie i potem, gdy zawładnęli maszyną wielkiego państwa. Byli niezdolni do samowiedzy jako parweniusze, hipokryci i chciwcy idący za Hitlerem. Jak wiadomo, *quos deus perdere vult, dementat prius*. Zaborczy plan Hitlera nie był zrazu obłędny — on się taki stał z czasem, bo musiał się taki stać. Jak wiadomo, sztab generalny nie chciał wojny z Rosją, znając stosunek sił, lecz gdyby nawet Hitler zwyciężył na Wschodzie, ostateczna klęska III Rzeszy byłaby jeszcze straszniejsza. Na ogół rozważanie alternatyw rzeczywistości odznacza się Ogromną niepewnością, lecz sytuacja na szachownicy świata miała podówczas w swej

dyslokacji taką logikę konieczności, której ulec musieliby wszyscy wojenni gracze. Sukcesy wschodnie Hitlera zdopingowałyby Amerykanów do zadania Japonii ciosów atomowych, by zwyciężyć ją, nim uzyska niemiecką pomoc. Ujawniona tak broń jądrowa wprowadziłaby z kolei kontynentalnych już antagonistów, Niemcy i Amerykę, w nuklearny wyścig, w którym Amerykanie, silnie wysforowani, mieliby wstępną przewagę i po prostu musieliby ją wykorzystać pustosząc radiacyjnie Niemcy w 1946 lub 1947 roku, czyli dopóki jeszcze fizyka teoretyczna, zdziesiątkowana w Niemczech przez Hitlera, nie mogła do jego arsenału wprowadzić środków nuklearnych. Rozejm międzykontynentalny czy podział świata na dwie strefy wpływów nie był możliwy, skoro na scenę weszła broń atomowa i skoro będąc w stanie wojny z Niemcami, Amerykanie postąpiliby samobójczo, gdyby zwlekali z jej użyciem do czasu powstania niemieckich bomb atomowych. Jeśliby się powiodł zamach z 20 lipca 1944, rozmiary zniszczenia Niemiec okazałyby się mniejsze niż w istocie po kapitulacji w 1945, a gdyby do niej nie doszło wtedy, to w 46 lub w 47 roku rozpadłyby się Niemcy w radiacyjnie skażony proch. Żaden prezydent amerykański nie mógłby się powstrzymać od takich ciosów, bo żaden nie paktowałby z przeciwnikiem tak depreczającym pakty jak Hitler, a zarazem już władającym zasobami Europy i Azji. Znaczący to, że katastrofa Niemiec okazałaby się w epilogu tym większa, im byłoby uprzednio większe ich wojenne szczęście. Była ona przedustawnie zawarta w planach Hitlera, gdyż ich ekspansywność nie miała realnych granic, toteż tylko kwestią czasu było przeobrażenie się strategii skutecznej w strategię samobójczą. Złośliwe fatum kazało Hitlerowi wygnąć z Niemiec tych fizyków, których mózgami i rękami została w Stanach Zjednoczonych stworzona broń atomowa. Byli to albo Żydzi, albo tak zwani „biali Żydzi”, czyli ludzie prześladowani za swe nieuzgadnialne z hitleryzmem przekonania. Jak z tego widać, rasistowski i w konsekwencji ludobójczy składnik doktryny nie był względem krachu Niemiec obojętny ani przypadkowy, gdyż to on uczynił ją właśnie ekspansją samozgubną. Tak wyznaczony miejsce genocydu w całej ramie II wojny światowej, zwraca się Aspernicus ku jego immanencji.

Zbrodnia — twierdzi — jeśli nie jest sporadycznym przekroczeniem norm, lecz regułą kształtującą życie i śmierć, wytwarza własną autonomię, tak samo jak kultura. Przez założoną skalę wymagała sił produkcyjnych i narzędzi wytwórczych, toteż musiała mieć swych rzeczoznawców, inżynierów i robotników jako fachową społeczność śmierci. Przyszło to wynaleźć i stworzyć na pustym miejscu, bo nikt dotąd nie robił tego w takim wymiarze. Wymiaru tego niepodobna ogarnąć. Wobec zbrodni uprzemysłowionej całkowicie bezradne stają się tradycyjne kategorie winy i kary, pamięci i wybaczenia, skruchy i zemsty, o czym potajemnie wszyscy wiemy wobec tego morza śmierci, w którym nurzał się hitleryzm, gdyż nikt przecież z morderców tak samo jak nikt z bezwinnych nie jest w stanie zgruntować myślą sensu słów „miliony, miliony, miliony zamordowano”. I nie ma zarazem nic bardziej rozpaczliwego, nic co napełniałoby umysł większą pustką i zjadliwszą nudą od lektury zeznań świadków zbrodni, albowiem powtarzają nieustannie jeden i ten sam zdarty motyw, te kroki do rowu, do pieca, do komory gazowej, do jamy, do stosu, i świadomość odtrąca wreszcie nieskończone szeregi cieni, wskrzeszanych lekturą na moment przed końcem, bo nikt nie może temu sprostać. Do rezygnacji dochodzi nie przez niedomogę litości, ale od zupełnej prostracji, od otepiałego znużenia monotonią tego, co jako mord w żadnym ujęciu, w żadnym postrzeganiu nie powinno wszak być monotonne, miarowe, rzeczowe, nudne jak obserwacja taśmy produkcyjnej. Nie, nikt nie wie, co to znaczy, że zamordowano miliony bezbronnych. Sprawa stała się tajemnicą, jak zawsze kiedy człowiek czyni coś, co przekracza go fizycznie i pojęciowo. A jednak trzeba iść w tę porażającą strefę, nie tyle przez pamięć ofiar, lecz przez wzgląd na żywych. Ów doktor Niemiec, antropolog i historyk, tak powiada w tym miejscu: „Czytelniku, grozi ci myślowa koleina. Kto mówi jak ja, naraża się na domniemanie, że jest moralistą. Że pragnie jątrzyć sumienia, aby nigdy się nie uspokoiły, żeby kultura nie zasklepiła się beczułą blizną w samoobronie, wydzieliwszy dla zachowania

przyzwoitości rocznicowe dni na żałobne wspominki”, więc kaznodzieja — autor „chce odświeżać rany w nadziei, że przez to nie dojdzie do nowych całopaleń. Nie jestem jednak ani tak egzaltowany, ani tak święty, by oddać się podobnie naiwnym rojeniom. Trojakię były reakcje Niemców po klęsce. Jedni, życiowo ugodzeni tym, czego dopuścił się ich naród, sądzili, jak Tomasz Mann, że hańba będzie murem na tysiąc lat odgradzającym Niemcy od ludzkości. To był głos nielicznych jednostek, zwłaszcza emigrantów. Ogół usiłował odłączyć się od zbrodni, wymknąć w jakieś alibi, głosząc jakiś stopień niewspólnictwa, niesolidarności z mordem, niewiedzy, a co uczciwsi — pół-wiedzy porażonej strachem. W tych głosach wszystko brzmiało na nutę „NIE”: nie wiedzieli, nie chcieli, nie partycypowali, nie mogli, nie umieli — wszystko uczynił Ktoś Inny. Nieliczni wreszcie weszli w pokutę, by przebłagać, prosić wybaczenia w aktach skruchy, aby jakoś wyrównać krzywdy, bratać się z niedobitkami ofiar, w tyleż rozpaczliwym i zacnym co błędnym przekonaniu, że tu w ogóle ktoś ma prawo udzielania przebaczeń, prawo odpustu win, że jakisłkolwiek człowiek, jakieś jednostki czy organizacje albo jakiś rząd, mogą się stać rozjemcą pomiędzy Niemcami a ich zbrodnią. Zresztą ten szlachetny obłęd udzielił się niejednemu z ocalałych.

A co się stało z samą zbrodnią, gdy jedni ją piętnowali, drudzy wymigiwali się od niej, a trzeci chcieli ją odkupić? Pozostała nie zgruntowana do dna myślą analityczną. Śmierć zrównuje wszystkich umarłych. Ofiary III Rzeszy nie istnieją tak samo jak Sumeryjczycy i Amalkici, bo umarli wczoraj są tą samą nicością co umarli przed tysiącami lat. Lecz ludobójstwo znaczy dziś coś innego niż wtedy; i chodzi mi o ten ludzki sens zbrodni dokonanej, który nie rozpadł się wraz z ciałami ofiar, który został wśród nas i który musimy rozpoznać. Rozpoznanie to jest naszym obowiązkiem, nawet gdyby nie miało się okazać skuteczne jako środek w profilaktyce zbrodni, bo człowiek powinien wiedzieć o sobie, o swojej historii i naturze więcej, niż mu to wygodne i przydatne do rzeczy praktycznych. Nie zwracam się więc do sumień, lecz do rozumu.

W dalszym ciągu zajmuje się Aspernicus neohitleryzmem. Gdyby odrastał on, mówi, do końca jawnymi programami, nie byłoby to w końcu niczym zdumiewającym dziś, w epoce superliberalizmu, przyzwolenczo zobojętniałego na wszelki eksces i na każde obrazoburstwo. Toż nie brak ekstremalnych postaw i programów. Skoro de Sade ważył się w epoce zakrzepłych norm głosić w pojedynkę mord i tortury źródłami pełni egzystencjalnej, czemu nie mogłoby dziś być grupy czy skrajnej frakcji, która głosiłaby analogiczny program zbiorowo? Lecz ludobójstwo nie doczekało się zachwalającego ujawnienia. Nikt nie zapowiada, że tworzy ruch, który zaprowadzi perfekcję metodą masowych rzezi, że idzie o to, by takich bądź innych ludzi, szkodników, wyzyskiwaczy, łajdaków, skażonych rasą, wiarą, majątnością, ubezwłasnowolnić, odosobnić, a potem spalić, otruć, zarznąć, i to razem z niemowlętami do ostatniego — na całym świecie, pełnym ekstrawagancji, przechodzących teraz i w obłęd, nie ma takiego programu w jawności. Tym bardziej nikt nie głosi, że czynność niewolenia i zabijania ma dostarczyć uciechy, a ponieważ uciechy dobrze jest potęgować, czynności te będą tak doskonałone organizacyjnie i technicznie, by jak największą ilość ofiar można było zadreć jak najdłużej. Żaden anty-Bentham nie objawił się nam z takim hasłem. Lecz stąd nie wniosek, by podobne chęci nie leęły się tajemnie w umysłach. Ludobójstwo, tak samo jak zbrodnia, popełniana dziś jakoby bezinteresownie, gdyż nie przynosząca żadnych doraźnych zysków sprawcom, nie może się już obejść bez zakłamania. A że kłamstwo jako przesłanka mordu ma wiele postaci, trzeba najpierw rozpoznać fałsz III Rzeszy i przy tym tak, by odkryć jego przerzuty w terażniejszości.

Hitleryzm był arywistą w polityce, nowobogackim łaknącym nieustannej afirmacji dostojeństw, których się dochrapał, a że nikt nie dba tak o konwenans, jak nuworysz, dopóki go widzą, tak się właśnie zachowywał hitleryzm, który nim był. Widać to po jego czołowych postaciach. By jednak ocenić je należycie, trzeba oglądać je na tle ich zbrodni. Hitler był jej oficjalnym ascetą, rezygnującym ze zmysłowych uciech władzy, jaszem i miłośnikiem

zwierząt, anachoretą w kwaterze głównej, a właściwie nie tyle był taki, ile się takim stawał, w miarę jak rzeczywistość brała rozbrat z jego rojeniem. Naprawdę wierzył tylko w siebie, a mówił o Opatrzności przez wzgląd na konwenans, z którego, jako parweniusz, nigdy nie umiał się wyzwolić. Był zresztą złączeniem cech nader rzadkim, gdyż autentycznie gardził wstrętnymi sprawkami swych akolitów, choć im pobłażał, na co mógł sobie pozwolić uczciwie, bo doprawdy nie miał niskich skłonności w rodzaju intryganctwa, nie znał satysfakcji płynącej ze zmysłów, nie smakował w świństwach — lecz takim zwyczajnym porządnym człowiekiem był tylko w personalnym kręgu: w grze o władzę i w rozpętanej wojnie był kłamcą, intrygantem, szantażystą, okrutnikiem i mordercą i właśnie ta nieuzgadnialność jego cech do dziś sprawia nieprzezwyjęzone kłopoty jego biografom. Był naprawdę dobry dla psów, sekretarek, lokajów, szoferów, a własnych generałów dał jak wieprze wieszać na hakach rzeźnickich, dał zagłodzić miliony jeńców. Nie było to takie niewytlumaczalne, jak sądzą, bo każdy wie, jak się zachowuje, czyli na co go stać wobec innych ludzi w małym promieniu codzienności, lecz któż wie, na co byłoby go stać oko w oko ze światem? To nie znaczy, że w każdym tkwi Hitler, a tylko, że Hitler prywatną swoją porządność odkładał wobec historii na bok; była to porządność bardzo manieryczna, drobnomieszczańska, i jako właśnie taka na nic w polityce, w niej nie liczył się z niczym, ponieważ tamta jego zacność płynęła z konwenansu, a nie z zasad moralnych. Tych nie miał albo je miał za nic wobec ogromnych swoich wizji, co mu się wszystkie po kolei obracały w góry trupów — zresztą nikt nie pokazał tego tak jak Canetti (*Hitler podług Speera*). Himmler był szkolnym nauczycielem zbrodni, a też jej autodydakta, bo rzecz w szkolnictwie stanowiła nowość. Wierzył w Hitlera, w runy, w znaki, w zwiastuny, w ciężką konieczność judeocydu, w hodowlę dużych blond nordyków po domach „Lebensborn”, w potrzebę dawania przykładu, więc i krewnego skazał na śmierć, gdy tak wypadało, i wizytował obozy śmierci, choć mdliło go od tego, chciał zlikwidować Heisenberga, bo przez chwilę miał wrażenie, że tak należy, ale jakoś do tego nie doszło. Ludzie tego pokroju, na ogół dość tępi, cyniczni, często nie przestrzegający własnego cynizmu, z dołów społecznych, z wiecznego marginesu, wyzbyci konkretnych uzdolnień, nie odznaczający się niczym, więc przeciętni, lecz bez zgody na to, pozyskali niebywałą szansę, ażeby wyżyć się jak jeszcze nigdy. Posłużyły im do tego szacowne urzędnictwa ponad tysiącletniego państwa, jego urzędy, sądy, kodeksy, gmachy, maszyny administracyjne, rzesze pracowitych biuralistów, żelazny sztab generalny, skroili sobie z tego kurty, ozłocili się tym i tak się awansowali, że na osiągniętej wyżynie morderstwo zamieniło się w wyrok dziejowej sprawiedliwości, grabieże w chwałę wojenną, każdą swoją ohydę i potworność mogli obezkarzyć i uszlachcić takim przemianowaniem, i cud tej transmutacji trwał przez dwanaście lat. Gdyby zwyciężył, powiada Aspernicus, stałby się hitleryzm „papiestwem ludobójstwa”, przypisawszy sobie już niekwestionowaną dla nikogo na całym świecie pokonanym nieomyślność w zbrodni.

To jest właśnie ta pokusa, zakrzepła w osadzie na dnie bombowych kraterów, w które zapadł się hitleryzm jako wyzwolona z powściągów naga siła, zdruzgotana przez siłę od niej większą. Tam i w popiele na rusztach pieców krematoryjnych trwa cień pokuśliwej urody — najpotężniejszych spełnień, do jakich człowiek jest zdolny. Nie gorączkowy dreszcz skrytobójstwa, lecz mord. jako prawość, jako święty obowiązek, ofiarny mózół i tytuł do chwały. Dlatego koniecznie trzeba było pominąć wszelkie niekrwawe warianty „der Endlösung der Judenfrage”. Dlatego hitleryzm nie mógł wejść w żadne układy, w żadne porozumienia, w żadne rozejmy z podbitymi ludami. Nie mogło być nawet taktycznie wskazanej łagodności czy umiaru. A więc nie szło „tylko” o „Lebensraum”, „tylko” o to, żeby Słowianie służyli zwycięzcom, żeby Żydzi po prostu znikli, wymierając bezpotomnie, idąc na wygnanie. Mord miał być racją stanu, narzędziem polityki państwowej, niewymienialnym na żadne inne, i tak się stało: został nim. Zabrakło tylko ostatniej konsekwencji, jako dopowiedzenia ogólników i pogróżkowych aluzji, zawartych w programie ruchu, ażeby

praktyka zdobyła pełne pokrycie w teorii. Nie było to możliwe od asymetrii stosunku między dobrem a złem. Dobro nigdy nie powołuje się na zło jako na swą rację, lecz zło zawsze podaje za swoją rację jakieś dobro. Dlatego nie brak konkretów w zapowiedziach zacnych utopii, dlatego można znaleźć w Fourierowskiej szczegółowej opisy urządzenia falansterów, lecz w pismach ortodoksji hitlerowskiej nie ma nic o urządzeniu obozów zagłady, o komorach gazowych, krematoriach, piecach, młynach do mielenia kości cyklonie i fenolu. W zasadzie można się było bez zbrodni obejść — tak twierdzą ci, co uspokajają dziś Niemców i świat książkami tłumaczącymi, że Hitler nie wiedział, nie dostrzegął, nie chciał, nie miał czasu się zająć, że pomiął, został źle pojęty, zapominał, zaniechał, z jego głową działa się co tylko chcecie, ale cokolwiek w niej świtało, na pewno nigdy mord.

Mit o dobrym tyranie i podrzędnym — kreaturach, które paczą jego intencje, ma twarde życie. Jeśli między umysłem Hitlera a stanem, w jakim pozostawił Europę, zachodzi choć niewielka odpowiedniość, to chciał, wiedział i rozkazał. Zresztą spór o jego wiedzę czy niewiedzę co do szczegółów genocydu nie ma żadnego znaczenia. Każdy wielki projekt, biały czy czarny, oddziela się w historii od projektodawcy i dopowiada się w zbiorowym działaniu według zawartej w nim logiki. Zło jest bardziej wielopostaciowe od dobra. Istnieją abstrakcyjniści mordy, niezdolni sami ukrzywdzić muchy, i naturaliści, zabijający *con amore*, choć wyzbyci daru pierwszych: usprawiedliwiania zbrodni. Hitlerizm połączył w swojej hierarchii jednych z drugimi, bo potrzebował wszystkich. Jako nowożytny instygator ludobójstwa stał w zakłamaniu jak no dwu kolumnach na etyce zła i na estetyce kiczu.

Etyka zła nigdy, jak się rzekło, nie wdaje się w autoapologię: zło zawsze uchodzi w niej za środek do jakiegoś dobra. Dobro to może być pretekstem dzieciennie łatwym do przejrzania, lecz figurować w programie musi. Nikczemność fałszu była instytucjonalną rozkoszą hitlerowskiej maszyny eksterminacyjnej i żal byłoby po prostu zrezygnować z tego źródła dodatkowych przyjemności. Żyjemy w epoce doktryn politycznych. Czas, w którym władza obywatela się bez nich, czas faraonów, tyranów, cesarów, minął bezpowrotnie. Niemożliwa jest władza bez legitymacji. Doktryna narodowego socjalizmu już w powiciu cierpiała od intelektualnej nieomogi jej autorów, jako mętna nawet w plagiacie, lecz była psychologicznie trafna. Nasz wiek nie zna innych władców poza dobrymi. Dobre intencje zwyciężyły na linii całego świata — przynajmniej w deklaracjach. Nie ma już Dżingischanów — nikt się też nie zaleca jako bicz Boży Attyła. Lecz ta oficjalna dobroć jest wymuszona historycznie; diametralne chętki pozostały i czekają, żeby im udzielono szans. Jakiś legitymizm jest im nieodzowny, bo tylko ten, kto morduje na własną rękę dla własnego profitu, może dziś milczeć. Hitlerizm był takim legitymizmem. Składał hipokryzją hołd oficjalnej cnotie świata, kłamiąc, że jest lepszy, niż go piszą, choć był gorszy, niż się do tego przyznawał w wewnętrznych kręgach partii. Zresztą analizy teoretyczne muszą być tak samo krańcowe jak egzekucje, którym się je poświęca. Tu półśrodki na nic. W 120 dniach Sodomy de Sade'a książę de Blangis, zwracając się do kobiet i dzieci, co miały być na śmierć zamęczone w orgiach, uderzył ze stu pięćdziesięcioletnim wyprzedzeniem w ten sam ton, w jakim były utrzymane twarde przemówienia komendantów obozowych do nowo przybyłych więźniów, gdyż zapowiadał im srogi los, ale nie zapowiadał im śmierci, grożąc nią jako karą za wykroczenia, a nie jako zapadłym już wyrokiem. Choć podług całej swej praktyki tak właśnie orzekała III Rzesza, nigdy i nigdzie w żadnym z jej kodeksów nie ma paragrafu opiewającego: „*Wer Jude ist, wird mit dem Tode bestraft*”. Książę de Blangis też nie wyjawiał ofiarom, że los ich jest już przesądzony, choć mógł to uczynić, bo miał je w swej mocy. Tyle że de Sade obdarzył potwornego księcia wykwinniejszą retoryką, niż było na nią stać esesowców. Taki komendant zwracał się do nowo przybyłych, aby im kłamać, z wiedzą, że uchwycą się jego kłamstwa jak zbawienia, gdyż zapewni im byt trudny wprawdzie, surowy, ale byt, a zatem życie.

Powszechnie uważa się, że komedia, odgrywana zaraz potem przez oprawców, kierujących ofiary do rzekomych łaźni, gdzie duszono cyklonem, była podyktowana względami czysto praktycznymi: nadzieja, wzbudzona zapowiedzią dość naturalnej dla nowych więźniów kąpeli, usypiała ich podejrzliwość, udaremniała desperackie akty i nakłaniała wręcz do współdziałania z oprawcami. Toteż skwapliwie wypełniali rozkaz obnażenia się, zrozumieli w zainscenizowanej sytuacji. Tak więc wyłącznie wskutek owej inscenizacji tłumy, wylewające się z kolejowych transportów, szły na śmierć nago. Wytłumaczenie to zdaje się tak oczywiste, że wszyscy badacze genocydu w nim się zatrzymywali, ani próbując szukać innej przyczyny nagości ofiar, wykraczającej poza dosłowność zaaranżowanego oszustwa. A jednak, twierdzi Aspernicus, choć pornomachia de Sade'a była jawnym rozpasaniem, a nazistowski genocyd jako zbrodnia uprzemysłowiona odgrywał aż do ostatniej chwili administracyjny purytanizm wobec ofiar, tu i tam musiały umierać nago — i zbieżność ta nie jest żadnym przypadkiem. To nieprawda? A więc dlaczego nawet najędźniejsi z nędznych, nawet żydowska biedota z małych galicyjskich miasteczek, odziana na co dzień w połatane chałaty, a gdy to w obozie było i zimą, to w papierowe worki po cementcie, szmaty i strzępy, dlaczego i z tych łachmanów musieli się wszyscy do naga rozbierać nad rowem egzekucyjnym? Słoczonych, oczekujących nago salwy karabinowej, nie można było już przecież oszukać żadnym złudzeniem nadziei. Nie było tak z ludźmi, których brano jako zakładników lub jako partyzantów z bronią w rękę, ci padali do rowu w odzieży zalanej krwią. Lecz Żydzi musieli stawać na brzegu nago. To, że jakoby oszczędnym z natury Niemcom szło i wtedy o odzież, jest skłamaną, wtórną racjonalizacją. Nie szło tam o żadną odzież, ta bowiem jakże często górami zwałona do magazynów tłała w nich i gniła.

Było dziwniej nawet: Żydzi wzięci w walce, jak przy powstaniu, nie musieli się obnażać do rozstrzelania. Na ogół mogli i żydowscy partyzanci ginąć w ubraniu. Nago umierali najbezpieczniejsi, starzy, kobiety, kaleki, dzieci. Nadzy, jak przyszli na świat, szli w glinę. Mord stanowił tu naraz surogat wymiaru sprawiedliwości i miłości. Kat stawał przed rasą obnażonych ludzi, już gotujących się na śmierć, na wpół ojcem, na wpół kochankiem, on miał im zadać śmierć sprawiedliwą, jak ojciec sprawiedliwie wymierza chłostę, jak wpatrzony w nagość kochanek udziela pieczyoty. Czy to być może? Czy wolno tu mówić o jakiegokolwiek więzi z miłością, niechby nawet makabrycznie sparodiowaną? Czy nie jest taka wykładnia nieodpowiedzialną fantasmagorią?

Aby zrozumieć, dlaczego tak właśnie było, mówi Aspernicus, musimy zająć się drugą, po etyce złą, kariatydą hitleryzmu, jaką był kicz. W przeciwnym razie umknie nam najgłębszy, bo ostatni sens owego ludobójstwa.

Aspernicus tak ogranicza to pojęcie: nic stworzonego po raz pierwszy nie może być kiczem. Jest to zawsze naśladowanie tego, co kiedyś jaśniało w kulturze autentycznością, lecz było powtarzane i wylizywane tak długo, aż zeszło na psy. To wersja późna, jak pacykarska kopia mistrzowskiego obrazu, poprawiana przez bezmyślnych naśladowców, zaślepiających kształty i barwy oryginału, kładących coraz więcej farb i werniksu podług coraz późniejszych gustów, gdyż kicz wymizdrzony, pyszniący się sobą, ostentacyjny, to już zwykle kres drogi, to degradacja bardzo starannie wykończona, dopracowana w szczegółach, to kompozycja w stanie schematycznego zatwardzenia, bo szkic zasadniczo nie może być kiczem, stwarza bowiem patrzącemu oku szansę ratowniczych dopowiedzeń, czego nigdy nie robi pewny siebie kicz. Tak zwany zły smak to w kiczu jego nie zamierzona śmieszność uroczystej powagi napompowanych do wypęku symboli. Jako istota stylu w hitleryzmie przejawiał się kicz we wszystkich jego poczynaniach. W architekturze jako monumentalizm na baczność, jako panteony w daleko posuniętej ciężości, jako gmachy z urzędu szantażujące ogromem, o drzwiach i oknach dla olbrzymów, z rzeźbami przedstawiającymi gołych siłaczy i gołe boginie na posterunkach, bo ten kicz miał wymuszać korny zachwyt w pozycji zasadniczej, jeśli nie aż przestraszyć, więc ogłaszał siebie z wyniosłością, wewnątrz pustą.

Można było brać wzory i z Grecji, i z Rzymu, i z Hausmannowskiego Paryża, lecz w sferze ludobójstwa trudno przychodziło się temu stylowi zmanifestować, ponieważ istniały szanowne style, które można było rozdymać wielkomocarstwowe, lecz gdzież było brać wzorce rzeźni dla ludzi? Toteż na pierwszy plan wystąpiła tu techniczna strona masakry i urządzenia śmierci odznaczały się funkcjonalizmem dlatego dość prymitywnym, bo nie warto było inwestować znaczniejszych środków w technikę, skoro gdzie się dało zastępowała ją kolaboracja samych ofiar, które, dopóki żyły, zajmowały się transportem, rewidowaniem i ogoławaniem trupów. A jednak kicz przesączył się do obozów, na place apelowe, bo się wkraśl w dramaturgię taśmowego mordy, choć nikt tego nie zamierzył.

De Sade, arystokrata z dziada pradziada, nie starał się o herbową oprawę w mnożonych przez siebie orgiach, ponieważ wysoki stan był mu przyrodzony, więc zgodnie ze swym credo libertyna lżył śmiało i kalął znaki tradycyjnego wyniesienia ponad motłoch, nieświadomie pewien, że nic nie może go pozbawić górnej pozycji: gdyby go spotkała gilotyna, też by w końcu ścięto markiza Donata Alfonsa Franciszka z ojca hrabiego de Sade i matki pochodzącej z bocznej linii królewskiego domu Bourbonów. Lecz konkwista hitlerowska była arywizmem lumpów, prostaków, synów podoficerskich, pomocników piekarskich i trzeciorzędnych pismaków, co łaknęli wywyższeń jak zbawienia, a osobisty udział w rzezi, do tego permanentny, zdawał się utrudniać im ten awans. Jakież więc wzór mogli ściagać,; jak mieli udawać i kogo, żeby, choć po kolana we flakach, nie utracić w tej rzeźni z oczu górnych aspiracji? Droga dla nich najdostępniejsza, kiczu, daleko ich doprowadziła, bo do samego Boga... do surowego Boga Ojca oczywiście, a nie do mazgaja Jezusa, Boga litości i zbawienia przez złożoną z siebie ofiarę.

Jakże mają stanąć ludzie na Sądzie Ostatecznym? Nago. To właśnie był taki sąd: wszędzie rozpostarła się dolina Jozafata. Obnażeni, mordowani mieli odegrać rolę osądzonych w dramacie, w którym wszystko było zmystyfikowane, od dowodów ich winy po sprawiedliwość sądu, oprócz końca. To kłamstwo było jednak prawdą, skoro naprawdę musieli zginąć. A ponieważ morderca miał ich los w ręku, był naraz, w tej samej chwili, pełen zabójczej chuci i Bożej mocy. Oczywiście kiedy tak to opisywać, od razu dostrzegamy ohydny farsowość tego misterium, odgrywanego w dziesiątkach miejsc Europy przez wiele lat dzień po dniu. Zapewne dramaturgia ulegała zmianom, była chwiejna, gdzieniegdzie przedegzekucyjny ceremoniał zredukowano do lapidarnego minimum. Zaiste trudno było grać rolę Boga Ojca w tej sztuce, inscenizowanej w obskurnych dekoracjach baraków i zasieków, trudno było mordować miliony i mówić do ich zastępów wiosną, latem, jesienią, całymi latami. Odgrywanie tej roli bez nonszalanckich skrótów, bez jej rosnącego lekceważenia, byłoby po prostu zbyt jałowe, beznadziejne, mordercy odczuwali znużenie, toteż starczyły im fragmenty akcji, kawałki Sądu Ostatecznego, próby generalne, ale zawsze z autentycznym epilogiem. Wykonawstwo pogarszało się, trupy nie chciały płonąć, z walcowanych grobów występowała krew, latem smród palonych ciał dawał się we znaki nawet w daleko położonych domach załogi obozowej, lecz przynajmniej śmierć nie była nigdy sfuszerowana. Ten rozdział *Endlosung als Erlösung* zamykają takie słowa: „Wiem, że nikt, kto nie uczestniczył w tych wydarzeniach ani jako kat, ani jako ofiara, nie będzie umiał dać mi wiary i poczyta moje wywody za plód nieodpowiedzialnej fantazji. To tym bardziej, że ofiary nie żyją, a choć niemal czterdzieści lat dzieli nas od ich rzezi, nie pojawił się ani jeden pamiętnik któregoś z oprawców, jako anonimowy przynajmniej opis ich przeżyć. Jakże wytłumaczyć to ich milczenie tak absolutne, tak sprzeczne z naturalną dążnością ludzką, by utrwalić najintensywniejsze z życiowych wspomnień, czy choć tylko najbardziej skrajne, co nie każdemu przypadają w udziale, ten doskonały brak nawet pseudoanimowanych wyznań, które musiały zastąpić w końcu literackie apokryfy, jeżeli nie obojętnością aktora na dawno już odłożoną rolę? Mój czytelniku, musimy się porozumieć co do nieświadomości aktorów, którzy odgrywali te role, absurdem i zupełnym głupstwem byłoby bowiem sądzić, że oprawcy

pojmwali] sami, co czynią, że wcielali się z samowiedzą w postawę Boga, odbierającego sprawiedliwie życie. Był to przecież monstrualny kicz, a pierwszą własnością i pierwszym założeniem kiczu jest to, że nie stanowi dla swych twórców kiczu, jest bowiem tym, za co go mają w pełni subiektywnych przekonaniach: rzetelnym malarstwem, autentyczną rzeźbą, architekturą z prawdziwego zdarzenia, toteż ten, kto by się dopatrzył znamion kiczu w swoim dziele, aniby go kontynuował, ani zakończył. Powiadam coś zupełnie innego, to tylko mianowicie, że ani w pojedynkę, ani zbiorowo ludzie nie mogą działać, krokiem postąpić, przywitać się, bez podległości jakiemuś wzorowi, czyli bez stylu i przykładu. Więc jakiś styl, jakies wzorce po prostu musiały wypełnić bezprecedentalną próżnię masowej zbrodni technicznego wieku, i wypełniły ją te, co były wszystkim najlepiej znane, jako wdrożone we wczesnym jeszcze dzieciństwie, wzory i znaki chrześcijaństwa, którego wyparli się akcesem do hitleryzmu, lecz to nie znaczy przecież, aby zniszczyli w sobie wszystkie ich pamięciowe ślady. Wszak nie było ani w SS, ani w SA, ani w partyjnym aparacie mahometan, buddystów, taoistów, i nie było też, zapewne, wierzących chrześcijan w potwornej apostaznacjach obozowych, powstał tam tylko krwawy kicz, ponieważ coś musiało wypełnić bezstylową pustkę i wypełniło ją to, czym oprawcy dysponowali niejako w czystej odruchowości umysłu, właśnie dlatego, ponieważ Mein Kampf, Mit XX wieku i góry papierowej indoktrynacji, całe piśmiennictwo spod znaku „*Blut und Boden*” nie zawierało ani jednego słowa, instrukcji, przykazania, zdolnego tę pustkę wypełnić konkretem. Byli więc tutaj zdani przez wodzów na siebie tak powstał ów bluźnierczy kicz. Był, oczywiście, w swojej dramaturgii nędznym uproszczeniem, niejako wyjętym ze szkolnego bryku, ochłapem ze zatartych wspomnień katechezy, nie tylko nieświadomym, ale i bezmyślnym jej przywołaniem, więc zostały się w nim tylko szczątki obrazów: Wszechsprawiedliwość, Wszechmoc, i to jako obrazki raczej niż jako pojęcia. Kolejnym (dowodem mojej racji w tej poszlakowej sprawie jest to, że władzom okupacyjnym nie zależało na niczym tak bardzo jak na tym, żeby mord objawił się jako. sprawiedliwy porządek rzeczy. Pospolicie uważa się i dziś wszyscy badacze hitleryzmu są co do tego zgodni — że Żydzi stanowili *idee fixe* III Rzeszy, którą Hitler samozgubnie zaraził swój ruch, a w dalszej konsekwencji i Niemców, że była to mania prześladowcza w agresji, istna socjalna paranoja, gdyż wszelkie zło upatrywali w Żydach, a dla tych, którzy ponad wszelką wątpliwość nie byli Żydami i w żadnym nie stali z nimi związku, został wynaleziony termin „białych Żydów”, stosowany systematycznie przy całej swojej absurdalności. Jak jednak z tego widać, esencją żydostwa nie była, wbrew kanonicznym tezom hitleryzmu, rasa, było nią zło — a jego partykularnym wcieleniem w szczególnie wysokiej koncentracji okazali się Żydzi. Stali się tedy problemem Rzeszy numer jeden, osobistą sprawą narodowego socjalizmu, ich likwidacja — koniecznością dziejową, i tak też był ów plan realizowany. Główne miejsce w tradycji prześladowania Żydów zajmują pogromy, lecz Niemcy sami nie stosowali ich prawie nigdy. Czynili to tuż u przejścia władzy poweimarskiej, gdy trzeba było wyjść na ulicę i pociągnąć za sobą niezdecydowanych, a zdecydowanym dać szansę „wykazania się”; jednakowoż hitleryzm okrzepły, zwycięski wojennie, instygatorem pogromów był bardzo rzadko, zachodziły zwykle, kiedy pokonane armie cofały się, a do opuszczanych miast wchodziły niemieckie forpoczty, lecz i to nie zawsze. Jak trzeba sądzić, wstrzymywali siebie i innych od pogromów, bo są krwawe burdy, spokrewnione z plądrowaniem, chaotycznym niszczeniem żydowskiej własności, więc z przestępstwem politycznym, a przecież prześladowanie Żydów nie miało być żadnym przestępstwem lecz jego diametralną opozycją, mianowicie wymierzaniem najwyższej sprawiedliwości. To miało osiągnąć Żydów, co się im słusznie i prawowicie należało. Komentarz ten wyjaśnia niechęć, jaką Niemcy okazywały pogromom, ich powściągliwość w tej mierze, lecz nie tłumaczy, dlaczego Niemcy, radzi przeciwstawiać rosyjskim partyzantom — zwerbowanych jeńców i dezertersów jak własowców, a także organizując po Europie oddziały SS spośród „nordyckich ochotników” hiszpańskich, francuskich czy holenderskich, nigdy nie używając

innoplemieńców przy likwidowaniu Żydów, poza sytuacjami zupełnie wyjątkowymi, konieczności, wynikającej z doraźnej potrzeby oraz z braku własnych sił miejscu. To się wprawdzie zdarzało, lecz wyjątkowo tylko, i w każdym poszczególnym takim przypadku można w oparciu o zachowane dokumenty udowodni że decyzję wprowadzenia do eksterminacyjnej akcji nie-Niemców wywoływała sytuacja przymusowa. Stąd dać już wyraźnie, do jakiego stopnia Żydzi przedstawiali dla Niemców „sprawę osobistą”, rozrachunku końca, którego per procura nikt nie powinien za nich dokonać. I wreszcie do obozów pracy kierował Żydów tylko w preludium ich całkowitego zgładzenia obozy zagłady zostały stworzone później, i to wyłącznie dla nich. Jak wiadomo, intencje patronujące wszelkiemu sprawstwu pewnie można wyczytać z faktów ministerialnych niż z oświadczeń i orzeczeń, które te fakty poprzedziły lub je komentowały *ex post*. Otóż z faktów rozpatrywanych w oderwaniu od całej hitlerowskiej doktryny, od werbalnych mozołów Goebbelsa i jego prasy, wynika niezbicie, że decyzja o „*Endlosung der Judenfrage*” zapadła w śmiertelnej postaci wcześniej, niż poczęły pękać fronty wojenne, więc eksterminacyjnego przyspieszenia nie tłumaczy tylko chęć dokonania mord, nim ktokolwiek przybędzie mordowanym z pomocą. Oznacza to, że w rozumieniu samych sprawców ludobójstwo wykroczyło poza głoszone przez nich kategorie odwetu i zemsty, albowiem było czymś więcej: ich misją historyczną. Cóż znaczyła ta misja w ostatniej instancji? Nigdy nie nazwana wprost, tworzy mglisty okrąg, w którym poprzez technologię i socjografię genocydu prześwituje symbolika judeochrześcijańska, przewrócona w mord. Jakby nie mogąc zabić Boga, Niemcy zabili jego „wybrany naród”, ażeby zająć jego miejsce i po krwawej detronizacji *in effigie* zostać samozwańczymi wybrańcami dziejów. Święte znaki nie uległy anihilacji, lecz inwersji. Antysemityzm III Rzeszy był więc w swoim ostatnim dniu pretekstowy: ideologowie nie byli dość szaleni, by brać się literalnie do genocydu, negacja Boga słowem i prawem nie mogła im wystarczyć, kościoły — można było już nękać, ale nie można ich było zniszczyć w całości, na to było za wcześnie. Był jednak pod bokiem naród, który zrodził w sobie chrześcijaństwo i zgładzić go znaczyło dotrzeć miejscami straceń tak blisko do zamachu na Boga, jak to tylko leżało jeszcze w ludzkiej mocy. Mord był aktem Przeciwodkupienia: Niemcy wyzwolili się nim z Bożego Przymierza. Lecz wyzwoliny miały być zupełne, czyli nie mogły się równać przejściu spod Bożej opieki w opiekę przeciwnego znaku. Nie miał być hołdem złożonym szatańskiemu złu, lecz rebelią zwieńczoną uzyskaniem totalnej niepodległości tak czarnym jak promiennym niebiosom chociaż w całym imperium nikt tego TAK nigdy nie wyraził, niewysłowna wiadomość o ponadludzkim nie rzeczy była tajemną wspólnotą morderczej zmyśli Nienawiść do ofiar miała swój Rewers w przywiązaniu którego dowiódł wysoki dowódca SS, gdy stojąc u o salonki w pociągu, jadącym przez porośnięte lichymi sękami piaski swego dystryktu, powiedział do towarzysza podróży: „*Hier liegen MEINE Juden*”. Połączyła go z nimi zadana śmierć. A niskim znawcom trudno bywało pojąć, czemu ginąć muszą dzieci z matkami, więc aby tak fatalny brak winy od razu naprawić, aranżowali jej powstanie *ad hoc* — na przykład kiedy matki, ledwo przybyłe do obozu, usiłowały wyprzeć się własnych dzieci, albowiem tylko bezdzietne kobiety kierowano do pracy — przybywające z dziećmi wieziono od razu do pieca. Więc za takie wyparcie się macierzyństwa karano wyrodne matki niezwłoczni; a to, że dzieci, za jakimi ujmował się oprawca, też miały być zaraz zabite, nie zakłócało mu komedii sprawiedliwego oburzenia. Niech nikt nie mówi, że wśród tych sprawiedliwie gniewnych morderców znajdowali się czytelnicy markiza de Sade, który wymyślił 150 lat wcześniej analogiczne komedie wraz — z bogobójstwem *effigie*, i że esesowcy byli jego plagiatorami. „Ujmuję, się za dziećmi, których czaszki rozpryskiwali parę chwil później, w farsie sprawiedliwości tak lichy zszytej, że od razu się rozpadała, nieświadomie okazywali przecież wierność nigdy niewysłownej prawdzie genocydu jako zastępczej egzekucji Boga”.

W drugim tomie swej pracy, zatytułowanym „*Frem korper Tod*”, waży się nasz autor na

syntezę historioficzną wykraczającą poza faktografię pierwszego tomu choć na niej opartą. Zmierza do pojęcia tak nazwanej przez siebie „wtórnej utylizacji śmierci”. Eksterminacja całych narodów czy grup etnicznych stanowiła integralną część wojennych reguł starożytności. Chrystianizm położył kres wszelkiej rzezi mającej za uzasadnienie samą tylko możliwość jej dokonania, bez jakiegokolwiek innej racji. Odtąd, aby zabijać, należało stwierdzić winę zabijanych. Winą mogło być innowierstwo i najczęściej było nią w średniowieczu. Średniowiecze utworzyło *sui generis* symbiozę ze śmiercią jako dola przyrodzoną człowiekowi z boskiego orzeczenia i wcieliwszy czterech jeźdźców Apokalipsy, „płacz i zgrzytanie zębów”, tańce szkieletów, czarną zarazę i „Hollenfahrt” w obręb aprobowanej kondycji człowieczej, uczyniło tym samym śmierć naturalną składową przeznaczenia, sprawiedliwie zrównującego nędzarzy z monarchami. Było to możliwe właśnie dlatego, ponieważ średniowiecze było wobec śmierci zupełnie bezbronne.

Żadne terapie medyczne, żadne przyrodnicze wiadomości, żadne porozumienia międzynarodowe, żadne techniki reanimacyjne nie mogły, jako nieistniejące, zatamować napór śmierci czy choćby tylko znaturalizować ją jako zjawisko biologicznie powszechne, ponieważ chrześcijaństwo położyło głęboką cezurę między człowiekiem a resztą ożywionej przyrody. Właśnie wysoka śmiertelność i krótkość życia pogodziła średniowiecze ze śmiercią przez to, że została jej nadana najwyższa ranga wewnątrz egzystencji, mocno powiązanej z pozadoczesnością. Przerazającym mrokiem była tylko widziana stąd; z tamtej strony okazywała się przejściem do wiecznego żywota przez Sąd Ostateczny, instancję groźną, lecz nie unicestwiająca. Tego natężenia eschatologii nie umiemy dziś pojąć nawet w przybliżeniu: pamiętne słowa, wy— powiedziane przez chrześcijanina, „zabijajcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich!”, brzmiące nam jak wyrafinowane szyderstwo, były wyrazem nieszydliwej wiary. Natomiast współczesna cywilizacja przedstawia się jako ruch od śmierci: reformy społeczne, postępy medycyny, uspołecznienie problemów uprzednio wyłącznie osobniczych (opieki nad ułomnością, nad chorobą, starością, kalectwem, nędzą, bezpieczeństwa publicznego, bezrobocia) stopniowo i z o l o w a ł y śmierć, ponieważ pozostawały wobec niej bezsilne i dlatego stawała się sprawą coraz bardziej prywatną w przeciwieństwie do innych przypadłości, na które znajdowała się publiczna rada. Zwłaszcza w „państwach dobrobytu” opieka społeczna redukowałą biedę, epidemie, choroby, nasycala, życie wygodami, lecz postępy te ustawały u śmierci. To wyodrębniło ją spośród wszystkich innych składowych egzystencji i czyniło „zbędną” w rozumieniu doktryn melioracyjnych, co z wolna stały się powszechną wiarą w zlaicyzowanej kulturze. Ten trend wyalienowania śmierci nasilił się szczególnie w XX wieku, w którym już i z folkloru znikły jej „zdomestykowane personifikacje” jako Anioła, Kostuchy czy Przybysza bez twarzy; tym sposobem ogołacana z sankcji pozaświatowych i z nie kwestionowanej uprzednio aprobaty, w miarę jak kultura z surowej rozkazodawczym stawała się służebnicą życiowych zaspokojeń, śmierć stawała się w niej ciałem obcym, coraz bardziej nagim znaczeniowo, ponieważ kultura jako spolegliwy opiekun i jako dostarczyciel usatysfakcjonowań nie mogła jej wewnątrz takich swych założeń nadać żadnego sensu. Lecz ta śmierć, publicznie na śmierć skazana, nie znikala przecież z życia. Nieumiejscowialna w porządku kultury, wygnana z dawnej wysokiej pozycji, poczęła wreszcie niejako czaić się potajemnie i dziczeć. Jedyнным sposobem ponownego oswojenia, czyli rewindykacji śmierci dla zbiorowości, okazało się jej normatywne zadawanie, lecz tak właśnie, po imieniu, nie można go było nazwać; nie w imię jej kulturalizacji należało więc zadawać śmierć, lecz w imię dobra, życia, ocalenia i tę właśnie koncepcję podniósł narodowy socjalizm do rangi doktryny państwowej. Autor przypomina tutaj gorące spory, jakie wywołało w Stanach Zjednoczonych ukazanie się książki Hanny Arendt *Eichmann or the banality of evil*. Uczestniczyli w nich Saul Bellow i Norman Podhoretz, utrzymujący, że skoro „każdy człowiek jest wewnętrznie świadom świętości życia” (Bellow) czy też „potwornej zbrodni może się dopuścić tylko potwór” (Podhoretz), to nie można kłaść znaku równości

między złem hitleryzmu a banałem. Zdaniem Aspernicusa pobłądzili wszyscy dyskutanci, ponieważ ograniczywszy kontrowersję do sprawy Eichmanna jako wykładnika hitlerowskiej zbrodni, nie mogli rozstrzygnąć dylematu. Eichmann był, podobnie jak większość kreatur III Rzeszy, pilnym i gorliwym biurokratą genocydu, lecz zarazem nie można uznać, żeby doprowadziło doń karierowiczowskie zaślepienie partyjnych biurokratów, prześcigających się w gorliwym domyślaniu do końca zarządzeń Führera, jeśli on sam ich nie precyzował. Podług Aspernicusa doktryna była banalna, banalni mogli być wykonawcy, lecz nie były banalne jej źródła, leżące poza hitleryzmem i poza antysemityzmem. Spór ugrzązł w partykularnościach, z których niepodobna wywieść właściwej diagnozy ludobójstwa dwudziestego wieku. Udocześniona cywilizacja skierowała myśl ludzką na drogi naturalistycznego szukania „sprawców zła” — i to zła wszelkiego. Skoro nie mógł już być nim unieważniony zaświat, to jednak ktoś był, bo ktoś powinien być za zło odpowiedzialny. Należało go więc znaleźć i wskazać. W średniowieczu starczył rzec o Żydach, że zabili Pana Jezusa; tego było w X: wieku za mało; winni byli się okazać sprawcami wszelkiego zła. Dla rozprawy z nimi posłużył Hitlerowi darwinizm, który rozpoznał nieodwołalnie ostateczny, jakkolwiek pozakulturowy sens śmierci: jest ona niepozbywalną przesłanką postępów naturalnej ewolucji. Hitler zrozumiał to po swojemu, czyli płasko i fałszywie, jako przykazanie i wzorzec, którym Natura (wolał ją nazywać Opatrznością) usprawiedliwia, a wręcz zleca silniejszym przeżywanie kosztem słabszych. Jak już niejeden prymitywny umysł przed nim, brał literalnie formułę „walki o byt”, która w samej rzeczy nie ma nic wspólnego z fizycznym wyniszczaniem ofiar przez drapieżców, ponieważ ewolucyjny postęp zachodzi właśnie wewnątrz stanów równowagi między gatunkami mniej i bardziej agresywnymi, a totalna likwidacja słabszych doprowadziłaby drapieżców do głodowej śmierci. Hitleryzm wyczytał wszakże w Darwinie to, czego łakną jako ponadludzkiego — a jednak nie transcendentalnego — zrównania mordy z istotą dziejów powszechnych. Tak przejęta w zafałszowaniu dyrektywa unieważniała w całości etykę i zastępowała ją taką słuszością, która uwidacznia wynik walki na śmierć i życie. Aby uczynił z Żydów dostatecznie monstrualnego wroga, należało spotęgować ich światową rolę poza granice wiary i godności; tak wszczęło się to paralogiczne rozumowanie, które doprowadziło do totalnej demonizacji Żydów. Jak dopracował się hitleryzm trudem zaiste niemal; przeczyła bowiem obiegowemu doświadczeniu Niemców skoro Żydzi żyli wśród nich od stuleci i było do tego świadome, że razem z wszystkimi swymi przywarami nawet jeśliby antysemityzm miał słuszość w konkretnych oskarżeniach, przecież nie zasługiwali na całopalenie wraz z nieurodzonymi jeszcze dziećmi, na stosy, rowy, piece i młyny kości, gdyż było to nie tylko czymś potwornym, ale w tej potworności zupełnie absurdalnym. Mniej więcej jakby w pedagogice powstała teoria, postulująca ‘zabijanie dzieci niepoprawnie wagarujących czy okradających inne dzieci. Otóż to, że nawet ze stanowiska tradycyjnego antysemityzmu w Europie Żydzi nie zasługiwali na wybicie do nogi, nie ulega wątpliwości. Widać to zaś choćby po tym, że odradzające się dziś ruchy neohitlerowskie nie umieszczają w swych programach ani eksterminacji Żydów, ani nie przyznają, że ich prekursorzy w III Rzeszy taką eksterminację zamierzali i wykonali. Ruchy te ograniczają się do sloganów antysemityzmu ogólnikowych albo umieszczają tę kwestię na podrzędnym miejscu swych programów, ponieważ Żydzi jako „nosiciele uniwersalnego zła” ulegli niejako degradacji. Podług antysemitów sprzed 40 czy 50 lat ponosili winę „za wszystko” od kapitalizmu po komunizm, od kryzysów ekonomicznych i nędzy po upadek obyczajowości; obecnie każdy może wymieni z pamięci mnóstwo zła, którego nikt Żydom nie przypisuje (zatrucie biosfery, przeludnienie, kryzysy energetyczne, inflacja itd.). Tak więc antysemityzm został zdegradowany nie w tym sensie, aby znikł, lecz w tym, że utracił nadaną mu uprzednio moc wszecheksplicacyjną wobec ogółu społecznych przypadłości. Aspernicus dodaje, aby go źle nie rozumiano, że nie anuluje znaczenia antysemityzmu wszechzakresowo, lecz tylko w perspektywie historycznej: na takiego kozła ofiarnego, co

winię wszystkiemu, Żydzi się już w pogenocydowym czasie nie nadają.

Cóż stało się dalej? Doszło do dezintegracji w oskarżycielsko tropiącym winnych poszukiwaniu sprawców „wszelkiego zła”. Po utracie wiary w uniwersalną prawdę Boga, po załamaniu się wiary w uniwersalne zło światowego żydostwa, przychodzi do kroku logicznie następnego i ostatniego zarazem. Apodyktyczność w identyfikowaniu „sprawców” osiąga szczyt. Sprawcą zła może być nazwany każdy.

W wielkim oglądzie historiozoficznym, mówi Aspernicus, mamy do czynienia z sekularnym procesem wyobcowania śmierci w kulturze zorientowanej hedonistycznie, perfekcjonistycznie i pragmatycznie. Strach przed śmiercią wyzbytą w kulturze obywatelstwa zyskał wyrazy instytucjonalne w prawodawstwie, widome jako wykreślenie kary śmierci z kodeksów w państwach, co najdalej zaszły po tej drodze i jako pozornie tylko dziwaczna perwersja w medycynie, gdzie terapeuci odmawiają odłączenia od reanimacyjnej aparatury konających, którzy de facto są już trupami, podtrzymywanymi .w wegetacji tłoczona do żył krwią. Tu ani tam nikt nie śmie wziąć na siebie odpowiedzialności za śmierć. Za głośnym szacunkiem dla życia ukrywa się strach jako poczucie bezradności, bezbronności, a przez to porażającej daremności wobec śmierci. Korelatem tego obezradnienia, czyli rewersem lęku przed zabijaniem, jest taki wzrost wartości osobniczego życia, że rządy ulegają wymuszeniom, gdy obiektem przetargu jest życie zakładników, wszystko jedno jakich. Proces ten posunął się daleko, skoro rządy uważające się za podległe prawu łamią to prawo, jeśli taki akt rokuje czyjeś obalenie przed śmiercią. Proces ten daje przerzuty, skoro ogarnął już i prawo międzynarodowe, i. odwiecznie nienaruszalne w historii immunitety dyplomatycznych przedstawicielstw. Optymizm zaś i perfekcjonizm znajdują wyraz w instrumentalnie chępliwiej kulturze jako próby technicznej realizacji zmartwychwstania: choć biegłym wiadomo, że tak zwana odwracalna wityfikacja człowieka, czyli zamrożenie z szansą przyszło—wiecznej rezurekcji, stanowi (obecnie przynajmniej) niemożliwość, tysiące zamożnych ludzi dają się tak właśnie zamrażać i przechowywać swe zwłoki w pojemnikach z płynnym azotem. Są to, zauważa Aspernicus, przyczynki do sui generis makabrycznej humorystyki w eschatologii totalnie zeświecczonej. Społeczeństwo, chętnie przyjmujące do wiadomości, że nie Bóg stworzył człowieka, lecz Życzliwi Przybysze z Kosmosu, że nie Opatrzność czuwała nad kielkami cywilizacji, lecz Opiekuńczy Praastronauca z gwiazd, że nie anioły stróże, lecz Talerze Latające wznoszą się nad nami i czuwają nad każdym naszym krokiem, że nie piekło pochłania potępionych, lecz Trójkąt Bermudzki, dowiaduje się też chętnie, że życie można przedłużać w lodówkach i że człowiek powinien najpierw dbać o długie życie w przyjemnościach, a nie o umartwienie cnoty.

I wreszcie mnożą się próby takiego poprawiania, przeinaczania i dosmaczania śmierci w stanie surowym, żeby dała się wreszcie oswoić pozametafizycznie i stała się zdatna do konsumpcji. Stąd popyt na śmierć widowiskową, mord i agonię powiększone zbliżeniem, na rekiny ludojady, wielkie trzęsienia ziemi, pożary, na ożywianie scen autentycznego ludobójstwa (Holocaust), stąd podaż literatury sadystycznej, a też przemysł eksploatujący te seksualne zboczenia, które sąsiadują o miedzę ze śmiertelnymi torturami, stąd więzy, kajdany i narzędzia flagellacyjne, cała owa popularna w USA jako rynkowy towar rekwizytornia pseudośredniowiecznych kazamat, stąd wreszcie w pełni autentyczne ryzyko podejmowane śmierci, jako pokupny artykuł, czyli gotowość jednodniowych bohaterów, by narażeniem życia zarobić na życie. I stąd na koniec popularność pseudonaukowej literatury, która obrodziła książkami o eksperymentalnych dowodach życia pośmiertnego, aż się to piśmiennictwo okazało kolizyjne względem kościelnej ortodoksji, nie bardzo wiedzącej, co począć z tak nieproszonymi i wątpliwymi posiłkami. Poszczególnym fazom wygnania śmierci z kultury Zachodu poświęcono mniej uwagi niż jej komercjalnemu oswajaniu; opracowań doczekały się jaskrawe i naiwne przerosty pogrzebowej kosmetyki czy dramaturgii, lecz penetracyjna siła myśli analitycznej, świetna w pojedynczych przypadkach, nie doprowadziła

do zintegrowanej wizji historiozoficznej całej drogi przemian, jaką przebyła cywilizacja zmagająca się ze śmiercią zdesakralizowaną, wyzwoloną od tajemniczych powinności, które godziły ją z życiem. Dlatego nie pojmujemy rodowodu takich zjawisk dnia, jak terroryzm czy religijne sekciarstwo, ponieważ typowe dla socjologii i psychologii, a też psychologii wiary metody empirycznego badania ujawniają ledwie wycinki owych plag społecznych, jako obserwacje z założenia racjonalne i tym samym ograniczone do tego, co można zobaczyć, sfotografować i wycisnąć z zeznań świadków czy podsądnych. Jednakowoż z nosem przy piśmie nie wywęszy się sensu pisma. Ten, kto chce zrozumieć Niagarę, musi odwrócić się do niej plecami i spojrzeć ku słońcu, bo to ono dźwiga na powrót w niebo wodę padającą ze skał. W tym miejscu wprowadza autor pojęcie wtórnej utylizacji śmierci. Od stu tysięcy lat, odkąd człowiek rozpoznał 'własną śmiertelność jako swój los, o czym świadczą groby, datujące się od tego czasu, pierwsza oznaka rytualizacji śmierci, kolejne kultury przyznawały jej wysoką lokatę w swym porządku. Im bardziej racjonalna stawała się cywilizacja, tym bardziej nasilała się w niej bezpańskość śmierci, której nie można już było ani efektywnie zaaprobować, ani wyprzeć się realnie. Zarazem kultura, stając się z apodyktycznej rozkazodawczym uległą opiekunką, coraz słabiej strzegła własnej ortodoksji, zezwalając stopniowo podopiecznym na spełnianie wszelkich zachcianek, wraz z ostatnią — opuszczenia jej, jako odrzucania jej norm. Nim jednak zaroilo się od dziwacznych subkulturowych wynalazków, nim dekalog zbutwiał ze wszystkim, nie samowolne jednostki, lecz tylko możny suweren, jakim jest państwo, mógł z postanowienia zawładnąć tym opustoszałym miejscem śródziemnomorskiej kultury, w którym znalazła się śmierć, ażeby użyć jej jako narzędzia autoafirmacji. Lecz nawet państwo nie mogło wtedy jeszcze tego uczynić ani w czasach pokoju, ani całkiem jawnie. Rozpętana wojna stała się zatem parawanem i ułatwieniem ludobójstwa i poza odcinającymi od reszty świata frontami powstały instytucje masowej zagłady. Taki był pierwszy akt reintronizacji.

W czasach odbudowy powojennej doszło do istnej różki subkultur, zwłaszcza młodzieżowych, oryginalnych swą nieoryginalnością, ponieważ były na wpół zabawowym i już przez to niedostatecznie poważnym przejmowaniem zamierzchłych wzorców obyczaju i odzieży z historii jak z rekwizytorni teatralnej. Te „miękkie” wynalazki sposobu życia musiały doprowadzić wreszcie do twardych — ponieważ ludzie zawsze robią do końca to, co otwiera się przed nimi jako nie obsadzona jeszcze możliwość. Szansa subkulturowego użytkowania śmierci jako wyróżnika w tym wieku pełnym zamętu i wrzawy zdawała się zamknięta podług następującego roztrząsania. Można się było bawić w dzikusów bądź anachoretów, ale nie można było się bawić w morderców, ponieważ na taką zabawę, jeśli prowadzącą do prawdziwego mordu, także permissyjna kultura nie dawała zgody, a co bodaj istotniejsze, mord, nawet bezinteresowny, uczyniłby sprawców pospolitymi przestępcami.

Dawne lokaty śmierci były już niewskrzeszalne, bo nie była możliwa ani religijna ostentacja w zabijaniu, jak inkwizycyjna kaźń heretyków, ani składanie bogom ludzkich ofiar jak u Inków, ani ostentacja orgiastycznego szału morderczego Berserkerów. Drogi do tych stron nie istniały, bo znikły razem z wiarami, które usensowniały tam śmierć. Ale i pozareligijne zabójstwo było niedostępne wprost, bo przemysłowe stulecie zadaje każdemu uczynkowi ludzkiemu pytanie „PO CO?” i pod groźbą psychiatrycznej dyskwalifikacji każdy musi na nie odpowiedzieć dorzecznie i rzeczowo. Skoro religijnego dostępu do śmierci nowy ekstremizm nie miał (można z zachcenia wymyślić dowolną religię, ale nie można w nią z zachcenia uwierzyć), a pozareligijny uczyniłby go zwyczajnym zbrodniarzem, to nie było innego wyjścia, jak przezwać mord wymiarem sprawiedliwości. Lecz ten ludobójczy paradygmat III Rzeszy nie mógł zostać przejęty wraz ze skalkulowaną tajemnością „ostatecznego rozwiązania”, gdyż wówczas mordy stałyby się w tym wieku walk wyzwoleńczych i wojen niewidzialne jak Niagara zanurzona w oceanie. Tak więc co

uprzednio tylko państwo mogło czynić tajnie, oni podjęli jawnie. A podobieństwo terroryzmu do hitleryzmu w tym, że mordercy znów nazywają siebie sprawiedliwym sądem. Ponieważ jednak każdy sąd nie we własnym działa imieniu, lecz z powołania przez instancje zwierzchnie, musieli stworzyć pozór istnienia takiej instancji, który okazałby się niepodległy tradycyjnym kryteriom czy to religijnym, czy psychiatrycznym, czy przestępczym. Tym samym musieli się nazwać ramieniem sprawiedliwości większej i wyższej od nich samych, co widać wyraźnie w szczególnej, bo powszechnej częstotliwości nazw, jakie nadawali swym ugrupowaniom („FRAKCJA Armii Czerwonej”, a więc nie ona cała, a więc ta całość istnieje poza nimi; „Pierwsza Linia”, a zatem istnieją jeszcze jakieś linie następne, głębokiego zaplecza; „Czerwone Brygady”, a zatem znów — pewne tylko oddziały jakiejś większej od nich samych armii). Z kolei potrzebowali adwersarza. Musiał być jak najpotężniejszy, bo mieć znacznego wroga jest znacznym wyróżnieniem; pojedynczy przedstawiciele kapitału byli im nie dość znamienici jako przeciwnicy, a też pragnęli antagonisty, wyraźniej skonsolidowanego niż system gospodarczo—polityczny rozmyty po całym świecie; stąd wybór padł na państwo, lecz nie na jego materialne instytucje i nie jako ich dynamitardzi wystąpili, bo nie zapominajmy o tym, że chodziło o zadawanie śmierci, a nie o destrukcję jakichkolwiek martwych symboli czy ośrodków państwowości. Gdy jednak tylko raz udało się im osiągnąć pierwszego polityka — we Włoszech — i gdy główni eksponenci władz państwowych stali się wskutek ochronnych zabiegów niedosiężni, jęli się zadowalać zastępczymi ofiarami, ponieważ każda była im dobra, jeśli tylko można było wskazać na jej udział, jakkolwiek upośredniony, w sprawowaniu władzy rządowej, a jeżeli nie takiej władzy, to przynajmniej jakiegokolwiek roli przywódczej albo broniącej istniejących porządków, albo nareszcie współdziałanie w systemie powszechnej oświaty — bo i jej można przypisać podporowe funkcje względem państwa. Gdy zatem wyjść od danych sytuacją historyczną warunków terroryzmu, pamiętając że szło o mord w masce obowiązku, wyrzeczeń i sprawiedliwego gniewu, to przewód logiczny prowadzony poza obrębem znanej faktografii mordów prowadzi nas do niej właśnie i do jej taktycznych szczegółów wraz z postępującym ześlizgiwaniem się wysokich aspiracji morderczych ku coraz bardziej „poślednim” w hierarchii społecznej ofiarom. Co się tyczy ideologii, została sporządzona z tego, co było pod ręką. Toż nawet wymienione już nazwy ugrupowań są skradzione u lewicy, ponieważ rewolucja zyskała znaczną estymę, ponieważ bohaterem czasu stał się bezkompromisowy rewolucjonista, jego postawę, gesty i wysłowienie zawłaszczyli ci, co sięgnęli po śmierć — to ciało obce hedonistycznej cywilizacji. Cynizm, plagiatowość i wręcz bylejąkość tego improwizowanego kłeczenia uzasadnień terroru pojawia się tylko w oku badacza — obserwatora. Ruch nie czuł się subiektywnie ani cyniczny, ani zakłamany, ani, co najważniejsze, PRZEBRANY za autentyczną walkę o naprawę świata. To, że przeciwnikowi — państwu, zarzucał faszyzm, gestapowskie metody i dziedzictwo hitlerowskie, plasując się na lewicy za komunistami, jako *plus catholique que le pape*, najmocniej zmyliło diagnostów, gdyż brali te oskarżenia za dobrą monetę, jeśli nie w samych słowach, to w dyktującej je intencji. Cóż, był odmienny od prekursora w mordzie bezinteresownym, ponieważ rósł w odmiennych warunkach. Nie przejął po hitleryzmie kiczu, bo podziemie nie może mieć własnej gali, parad, gmachów, kancelarii, ceremoniałów, lecz w nielegalności była kompensatą aura potęgi, jaką skwapliwie obdarzyły go rozwrzeszczane histerycznie środki masowego przekazu. Zresztą gdy dążyć do ścisłości etiologicznej, hitleryzm, poprzednik terroryzmu, nie był jego źródłem — źródło ich obu mieści się głębiej: śmierć zadawana z zimną determinacją jako „powinność znów odzyskiwała w kulturze doniosłą lokatę, dzięki zabiegowi wtórnej utylizacji, bo odtrącona przez kulturę, wyświecona z niej, wróciła.

W państwie totalitarnym, w którym wszystko co ludzkie uległo upaństwowieniu, tylko najwyższa władza była w prawie typowania ofiar, W państwie wielkich swobód osobniczych byli samozwańczy likwidatorzy zła swobodni w jego rozpoznawaniu i ściganiu. Ta zależność

wyjaśnia pokrewieństwo obu formacji — w rozgrzeszeniach, jakie dają sobie mordercy, bo zarówno totalna uległość autorytetom jak totalna negacja wszelkiej uległości wyklucza z rachunku czynów sumienie, różnymi drogami prowadząc do tożsamego finału we krwi.

Aspernicus pokazuje więcej zbieżności. Jako zorientowany egzekucyjnie, a nie rewolucyjnie, to tylko przejmuje terroryzm od lewicy, co jest ideologicznym listkiem figowym jego czynów, wykreślając i pomijając wszystko, co utrudniłoby mu czy wręcz udaremniło jako sposób bycia — mord. Przyszłość, której składa ofiary z ludzi, jest mu takim samym legalizującym czynny transparentem, jak nim była wizja „Tysiącletniej Rzeszy” dla nazizmu. Terrorysty, którzy występują z ruchu, tracąc z nim organizacyjną więź, zatracają jednocześnie to rozumienie jego pobudek, które stanowiło motor ich trwającej lata zacieklej aktywności i wysłuchiwanie przez oczekujących z zapartym tchem rewelacji, dostarczają garść plotek o przywódcach, równie płaskich jak rewelacje o głupkowatych „Tischgesprache” Hitlera w gronie bliskich współpracowników. „Ale Hitler — dodaje w tym miejscu tekst — popełnił samobójstwo przed uwięzieniem”. Daremne jest oczekiwanie wtajemniczeń, bo nieprzekazywalny okazuje się stan, w którym można zadawać śmierć — bo w jej zadawaniu, a nie w umysłach zabójców kryje się tajemnica. Wszystko może być więc płaskie i lichozszyte, jak staranie — nazistów i terrorystów — by unikać doraźnych egzekucji, bo zabicie na miejscu to typowa cecha pospolitego mordu, a szło o jego legitymizację, więc ofiary wieziono do miejsca straceń, chyba że się broniły, co było bardzo źle widziane, bo wszelki opór jest zniewagą sprawiedliwości, a terrorysty bardziej nawet od nazistów dbają o pozory prawomocnego sądenia i wyrokowania, gdyż sami muszą, wyzbyci państwowej zwierzchności, umacniać swój autorytet. Lecz typowani na skazańców nigdy nie byli i nie są prawdziwie sądeni. Ich najwyższa wina jest zawsze wiadoma z góry. W tej nieomyślności dorównuje terroryzm papieżowi ludobójstwa, jakim chciał się stać narodowy socjalizm. Żadne perswazyje i apele, żadne błagania, żadne powoływania się na ludzką solidarność czy na jakiegokolwiek okoliczności łagodzące, żadne prośby o miłosierdzie, żadne dowody bezsensu czy wręcz praktycznej bezskuteczności mordu, żadne argumenty nie zbijają oprawców z tropu, ponieważ dysponują maszynką przeuzasadnień, która umiar i łagodność sprowadza do kwalifikacji tej samej niktzemności, co antyekstremistyczną legislację i politykę zachowawczych represji. Motywacyjne opancerzenie terrorystów osiąga pełnię, gdy każdy typ zachowania strony przeciwnej poczytywany jest za następny dowód jej winy. Tylko tym daje się wyjaśnić zarówno doskonale samopoczucie, okazywane przez byłych esesowców na rocznicowych zjazdach, jak nienaruszona koszmarem guajańskiego samostracenia wiara jego niedobitków w charyzmat ich potwornego proroka.

Zewnętrznie podobny do pseudopolitycznego ekstremizmu, każdy ruch autentycznie opozycyjny, mający rzetelne motywy do walki w sytuacji nie zmyślonego zniewolenia lub wyzysku, niechcący sprzyja fałszerzom, podającym mord za narzędzie walki o dobro, ponieważ zwiększa konfuzję panującą w analizie zająć i utrudnia, jeśli nie udaremnia, odróżnienie win pretekstowych od win rzeczywistych — a zresztą kto i gdzie na tym świecie jest anielsko bezwinnie do samego końca? Tak powstaje zadziwiająca skutecznością gra mimikry. Symulowana racja nie daje się odróżnić od racji nie zmyślonej, i to nie tyle przez doskonałość aktorstwa symulantów, lecz przez nie całkiem czyste sumienie społeczeństw, które zrodziły powojenny terroryzm.

Ostatecznie zabójczą agresję odpiera zabójcza represja, policja pierwszej strzela, niż legitymuje, demokracja, ratując się, musi w jakiejś mierze z siebie rezygnować, toteż ekstremizm o zmistyfikowanych racjach wywołuje wreszcie takie reakcje, które to, co było sfingowane jako oskarżenie, obraca w oskarżenia zasadne. Zło okazuje się pragmatycznie bardziej skuteczne od dobra, skoro w tej dyslokacji sił dobro musi przeczyć sobie, by powstrzymać zło, czyli nie ma w tych rozgrywkach żadnej niepokalanej strategii zwycięskiej, skoro prawość zwycięża w takiej mierze, w jakiej sama się upodobni do zwalczanej

nieprawości.

Tak więc lekcja, jakiej udzielił naszej epoce hitleryzm, nie została zapomniana. Można siłą roztrzaskać totalitarne państwo zbrodni, jak stało się z III Rzeszą, i wtedy sprawstwo ułatwia się, rozsypuje, rozpoznani w winie maleją, znikają prócz garści projektantów. genocydu na szczytach i zidentyfikowanych gorliwców z krwawymi rękami na dole, lecz ten siew nie ginie, gdy idzie w rozsypkę. Proces dopełnił się już i zyskał — stan logicznego zamknięcia poprzez postępującą generalizację w typowaniu winnych. Od obozu przymusowej udręki szedł ten cykl eschatologii dwudziestego wieku do obozu dobrowolnego stracenia. W tym ostatnim kroku kaci złączyli się z ofiarami na dowód, że winien jest każdy, i powróciła wyjściowa sytuacja bezradności, bo .widome w takich odrostkach dziedzictwo zbrodni okazuje się już niepodatne na zabieg tak brutalnie prosty jak powalenie tyranii. Doktor filozofii, historyk i antropolog, Horst Aspernicus, którego imię kojarzy się nam z innym Horstem, nie zamyka swej pracy żadną uniwersalną w skuteczności receptą uzdrowicielską dla przedstawionej endemii nihilizmu, gdyż uważa, że jego zadanie jest ukończone, skoro na światło dzienne wydobył okropne związki łączące genetycznie złośliwy guz ludobójstwa z indywidualnymi przerezutami w łonie europejskiej cywilizacji. Jakkolwiek kontrowersyjne są jego wywody, jakkolwiek silny mogą budzić sprzeciw, nie sposób przejść nad nimi obojętnie do porządku. Ta próba integracji hitleryzmu w porządek śródziemnomorskiej kultury, wzbraniająca traktować go jako wyjątek z reguły, jako jeden koszmarny eksces, wejdzie, trzeba się obawiać, do korpusu wiedzy o współczesnym człowieku, i to nawet wtedy, gdy mór, jaki podległ jej sekcijnemu rozpoznaniu, doczeka się wreszcie terapeutów.

Sprawa, jakiej poświęcił doktor Aspernicus swoje dwutomowe dzieło, dotyczy tego, co nazwał lokatą śmierci w kulturze. O zwiastowanie dalszych perturbacji tej lokaty oraz jej przyszłych skutków jest osobliwie trudno, albowiem proces przebiegł już przez cały swój kołowy cykl, skoro zło po kolei było lokowane wszędzie, gdzie się jego lokalizacja dawała pomyśleć, i otwarcie tej nihilistycznej gry, dokonane przez paranoję hitleryzmu, dotarło do logicznej końcówki jako do zbiorowego oblędu suicydalnego. Cóż więcej pozostaje ludzkości na terenie tych ponurych robót? Jakże jeszcze wymyśli sobie zabawy ze śmiercią raz zakwefianą, a raz podniecającą krwawym striptease'em? To pytanie bez odpowiedzi zamyka Dzieje ludobójstwa.

Kraków, marzec 1979 — luty 1980

Jedna minuta

J. JOHNSON and S. JOHNSON: *One Human Minute Moon Publishers*, London — Mare Imbrium — New York 1985

Książką ta przedstawiano, co wszyscy ludzie naraz robią w ciągu jednej minuty. Tak powiada wstęp. Zadziwiające, że nikt nie wpadł na ten pomysł wcześniej. Sam się napraszał po Trzech pierwszych minutach Kosmosu, po Sekundzie Kosmosu i po Księdze rekordów Guinnessa, zwłaszcza że były to bestsellery, a nic tak nie podnieca dziś wydawców i autorów, jak książka, której nikt nie musi czytać, ale każdy powinien mieć. Po tamtych książkach koncept był już gotowy i leżał wprost na ulicy, wystarczyło go podjąć. Ciekawe, czy J. Johnson i S. Johnson to małżeństwo, bracia czy tylko pseudonim. Chętnie zobaczyłbym zdjęcia tych Johnsonów. Choć niełatwo to wytłumaczyć, bywa, że kluczem do książki jest wygląd autora. Ze mną przynajmniej nieraz już tak bywało. Lektura wymaga zajęcia określonej pozycji „wobec tekstu, jeżeli tekst nie jest konwencjonalny. Twarz autora może wtedy wiele wyjaśnić. Myślę sobie jednak, że ta para Johnsonów nie istnieje, a S. przed nazwiskiem drugiego Johnsona to aluzja do Samuela Johnsona. „Może to zresztą nie takie znów ważne. Jak wiadomo, wydawcy nie boją się niczego tak, jak wydawania książek, gdyż w pełni już działa tak zwane prawo Lema („Nikt nic nie czyta; jeśli czyta, nic nie rozumie; jeśli rozumie, natychmiast zapomina”), ze względu na powszechny brak czasu, nadmierną podaż książek oraz zbytnią doskonałość reklamy. Reklama jako Nowa Utopia jest obecnie przedmiotem kultu. Te okropne bądź nudne rzeczy, jakie widać w telewizji, oglądamy wszyscy dlatego (wykazały to badania opinii publicznej), bo cudnym wytchnieniem po widoku gładzących polityków, krwawych trupów leżących z różnych przyczyn w różnych częściach świata oraz kostiumowych filmów, w których nie wiadomo, o co chodzi, gdyż są to nie kończące się seriale (zapomina się nie tylko przeczytane, lecz i obejrzone) — są wstawki reklamowe. Już tylko w nich pozostała Arkadia. Są w niej piękne kobiety, wspaniali mężczyźni, też całkiem dorośli, szczęśliwe dzieci oraz starsze osoby o rozumnym spojrzeniu, przeważnie w okularach. Do bezustannego zachwytu wystarczy im budyń w nowym opakowaniu, lemoniada z prawdziwej wody, spray przeciw poceniu się nóg, papier klozetowy napojony ekstraktem fiołków albo szafa, choć i w niej nie ma nic nadzwyczajnego prócz ceny. Wyraz szczęścia w oczach, w całej twarzy, z jakim wytworna piękność wpatruje się w rolkę papieru higienicznego albo otwiera tę szafkę, jakby to były drzwi Sezamu, udziela się na mgnienie każdemu. W owej empatii jest też może i zawiść, i nawet trochę irytacji, bo każdy wie, że on nie mógłby doznać takiego zachwytu pijąc tę lemoniadę lub używając tego papieru, że do tej Arkadii nie można się dostać, ale jej świetlana pogoda robi swoje. Zresztą od początku było mi jasne, że doskonała się w walce towarów o byt, reklama ujarzmi nas nie przez coraz lepszą jakość towarów, lecz wskutek coraz gorszej jakości świata. Cóż nam zostało po śmierci Boga, wyższych ideałów, honoru, bezinteresownych uczuć, w zatłoczonych miastach, pod kwaśnymi deszczami, prócz ekstazy pań i panów z reklamówek, głoszących keksy, budynie i smary jak przyjdzie Królestwa Niebieskiego? Ponieważ jednak reklama z potworną skutecznością przypisuje doskonałość wszystkiemu, więc przy książkach — każdej książce, człowiek czuje się jak uwodzony przez dwadzieścia tysięcy miss świata naraz i nie mogąc się zdecydować na żadną, trwa w nie spełnionym pogotowiu miłosnym jak baran w stuporze. Tak jest ze wszystkim. Telewizja kablowa, dostarczając czterdzieści programów naraz, wywołuje w widzu wrażenie, że skoro jest ich tyle, każdy inny musi być na pewno lepszy od oglądanego, więc skacze od programu do programu jak pchła na rozżarzonej patelni, na dowód, że doskonała technika doskonale frustruje. Obiecano nam mianowicie, choć nikt, tego aż tak wyraźnie nie powiedział, cały świat, wszystko, jeśli nie do posięcia, to przynajmniej do obejrzenia i pomacania, a literatura piękna, która jest wszak tylko echem świata, jego podobizną i komentarzem, wpadła w tę samą pułapkę. Dlaczego właściwie miałbym czytać, co pojedyncze osoby różne/ bądź tej samej płci mówią, nim pójda do łóżka,

jeśli nie ma tam słowa o tysiącach innych, może znacznie ciekawszych osób, albo przynajmniej takich, co robią rzeczy bardziej pomysłowe. Należało tedy napisać książkę o tym, co robią Wszyscy Ludzie Naraz, ażeby wrażenie, że dowiadujemy się głupstw, podczas gdy Rzeczy Istotne zachodzą Gdzieś Indziej, nie stanowiło już naszej udręki.

Księga rekordów Guinnessa była bestsellerem, gdyż pokazywała same nadzwyczajności z gwarancją, że są autentyczne. To panopticum rekordów miało jednak poważny mankament, bo szybko się dezaktualizowało. Ledwie jakiś pan zjadł osiemnaście kilo brzoskwiń z pestkami, już inny zjadł nie tylko więcej, lecz zaraz potem skonał od skrętu kiszek, co zaprawiało nowy rekord ponurą pikanterią. Jakkolwiek nie jest prawdą, iż chorób umysłowych nie ma, a wymyślili je psychiatrzy, by męczyć pacjentów i wyciągać od nich pieniądze, prawdą jest, że ludzie normalni robią rzeczy daleko bardziej szalone od wszystkiego, co robią wariaci. Różnica w tym, że wariat robi swoje bezinteresownie, normalny natomiast dla sławy, bo można ją < wymienić na gotówkę. Zresztą niektórym wystarczy sama sława. Rzecz jest więc ciemna, lecz tak czy owak niewymarły dotąd podgatunek subtelnych intelektualistów gardził całym tym zbiorem rekordów. J w lepszym towarzystwie nie było tytułem do wyróżnienia pamiętać, ile mil można na czworakach popychać przed sobą nosem pomalowaną na liliowo gałkę muszkatołową.

Należało więc wymyślić książkę poniekąd zbliżoną do księgi Guinnessa, ale tak poważną, tak samo nie dającą się zbyć wzruszeniem ramion, jak Trzy pierwsze minuty wszechświata, a jednocześnie nie tak abstrakcyjną i wypchaną rozważaniami o różnych bozonach i innych kwarkach, lecz napisanie takiej książki, prawdziwej, nie zmyślonej, o wszystkim naraz, książki, która zakasuje wszelkie inne, patrzyło na całkowitą niemożliwość. Nawet ja nie umiałem domyślić się, co to ma być za książka i proponowałem tylko wydawcom napisanie książki najgorszej, jako 'nieprześcignionej w kierunku odwrotnym względem wysiłków reklamy, lecz propozycja nie chwyciła. Istotnie, choć zamyślany przeze mnie utwór mógł być przynętą dla czytelników, toż najważniejszy jest dziś rekord, a najgorsza powieść świata też byłaby rekordem, było całkiem możliwe, że nawet jeśli mi się powiedzie, nikt tego nie zauważy. Jakże żałuję, że nie wpadłem na tę lepszą myśl, co zrodziła Jedną minutą. Podobno wydawnictwo to nie ma nawet filii na Księżycu, „Moon Publishers” to ponoć też tylko reklamowy chwyt, a żeby uniknąć pomówienia o nierzetelność, edytor ów wysłał jakoby na Księżyc za pośrednictwem N-3A przy kolejnym locie „Kolumbii” pojemnik, zawierający maszynopis książki oraz mały komputer z czytnikiem. Tak więc, gdyby ktoś się czepiał, zaraz mu się udowodni, że część prac wydawniczych rzeczywiście biegnie na Księżycu, bo komputer na miarę Imbrium w kółko czyta wciąż ten manuskrypt, a to, iż czyta bezmyślnie, nic nie szkodzi, bo na ogół podobnie lektorzy czytają maszynopisy w ziemskich wydawnictwach.

Źle zrobiłem, uderzając na początku tej recenzji w ton sarkazmu, bliższy gderania niż powagi, z tą książką nie ma bowiem żartów. Można się na nią oburzać, uznać ją za obelgę, wymierzoną w cały rodzaj ludzki, tak zręcznie, że nie do odparcia, boż nie ma w niej nic prócz sprawdzonych faktów, można się pocieszać tym, że przynajmniej z niej nikt nie zrobi filmu ani serialu, to wykluczone, ale zastanowić się nad nią na pewno warto, choć rezultatem nie będą pogodne wnioski.

Książka jest niechybnie prawdziwa i fantastyczna, jeśli uznać, jak ja, za fantastyczne to, co wykracza poza ostatnią zdolność naszego pojmowania. Nie każdy zgodzi się tu ze mną, ale ja muszę trwać przy takim orzeczeniu, skoro nędzę dzisiejszej fantastyki, Science Fiction, upatruję w tym, że jest za mało fantastyczna, w przeciwieństwie do otaczającej nas rzeczywistości. Tak na przykład okazało się, że człowiek z przeciętym na dwoje mózgiem (takich operacji zrobiono już wiele, zwłaszcza epileptykom) jest i nie jest zarazem jedną osobą. Bywa, że taki człowiek, z pozoru całkiem zwykły i normalny, nie może włożyć spodni, bo jego prawa ręka ciągnie je do góry, a lewa je spuszcza, albo obejmuje żonę jednym

ramieniem, a drugim ją równocześnie odtrąca. Stwierdzono, że prawa półkula mózgu nie wie w określonych sytuacjach, co postrzega i myśli lewa półkula, więc należało uznać, że doszło do rozdwojenia świadomości, a nawet osobowości, czyli że w jednym ciele jest dwóch facetów, lecz inne eksperymenty wykazały, że nic podobnego. Nawet nie jest tak, aby raz był to osobnik pojedynczy, a raz podwójny. Hipoteza, że go jest półtora lub dwa z czymś, też upadła. To nie żarty; wyjawilo się, że na pytanie, ileż właściwie umysłów tkwi w takim człowieku, nie ma odpowiedzi i to właśnie jest rzeczywiste i fantastyczne. W tym i tylko w tym sensie fantastyczna jest Jedna minuta.

Choć niby każdemu to mniej więcej wiadomo, na ogół nie myślimy o tym, że na ziemi współistnieją w każdej chwili wszystkie pory roku, wszystkie klimaty i wszystkie godziny dnia i nocy. Ta banalna prawda, którą zna, a przynajmniej powinien znać każdy uczeń szkoły podstawowej, spoczywa jakoś poza naszą świadomością. Może przez to, że nie wiadomo, co z tą wiadomością począć. Zmuszone do tego elektrony, liżąc z szaloną chyżością ekrany telewizorów, co wieczór pokazują nam świat upchany w Ostatnie Wiadomości, posiekany na kawałki, abyśmy się dowiedzieli, co zaszło w Chinach, w Szkocji, we Włoszech, na dnie morza, na Antarktydzie, i zdaje się nam, żeśmy w ciągu kwadransa zobaczyli, co zaszło na całym świecie. Tak oczywiście nie jest. Reporterskie kamery nakłuwają kulę ziemską w paru miejscach, tam gdzie Ważny Polityk schodzi po trapie z samolotu i ścisną z fałszywą serdecznością ręce innym Ważnym Politykom, gdzie wykoleił się pociąg, ale to nie może już być byle jakie wykolejenie, tylko z wagonami skręconymi w makaron, z których wyciąga się ludzi po kawałku, bo pomniejszych katastrof jest już za wiele, jednym słowem mass media pomijają wszystko, co nie jest pięcioraczkami, zamachem stanu, najlepiej połączonym z porządną rzezią, wizytą papieską bądź królewską ciężą. Gigantyczne, pięciomiliardowe tło ludzkie tych zdarzeń istnieje na pewno, toż każdy zapytany powie, że tak, naturalnie wie o egzystencji milionów innych ludzi, a gdyby się zastanowił, doszedłby sam i do tego, że między jednym a drugim jego oddechem ileś tam dzieci urodziło się i iluś tam ludzi zmarło. Jest to wszakże wiedza mglista, nie mniej abstrakcyjna niż wiedza o tym, że gdy to piszę, gdzieś na Marsie stoi w bladym słońcu zamarty już amerykański ładownik, a na Księżycu walają się wraki paru aut. Ta wiedza jest właściwie .niczym, skoro można jej dotknąć słowem, ale nie można jej przeżyć. Przeżyć można tylko mikroskopijną kropelkę wyjętą z morza otaczających nas ludzkich losów. Pod tym względem człowiek nie różni się znów tak bardzo od ameby, pływającej w kropli wody, jakby jej granice były granicami świata. Głównej różnicy nie dopatrywałbym się w naszej rozumnej wyższości nad pierwotniakiem, lecz w tym, że jest nieśmiertelny, bo zamiast umierać, dzieli się i tym samym staje się swą coraz liczniejszą rodziną.

Tak więc zadanie, jakie postawili sobie autorzy Jednej minuty, wyglądało na niewykonalne. W samej rzeczy, gdy powiedzieć temu, kto nie miał jeszcze w ręku tej książki, że zawiera mało słów, cała wypełniona tablicami statystycznymi i zestawieniami cyfr, uzna z góry przedsięwzięcie za niewypał, — nawet za idiotyzm, bo cóż można począć z setkami stron statystyki? Jakie obrazy, emocje i przeżycia mogą nam zapalić w głowie tysiące kolumn cyfr? Gdyby tej książki nie było, gdyby nie leżała na moim biurku, sam uznałbym może jej pomysł za oryginalny, nawet frapujący, ale nie do urzeczywistnienia, podobnie jak myśl, że książka telefoniczna Paryża lub Nowego Jorku nadaje się do lektury i mówi nam coś o mieszkańcach tych miast. Gdyby nie było Jednej minuty, sądziłbym pewno, że jest nieczytelna jak spis telefonów albo rocznik statystyczny.

A zatem ów zamysł — by pokazać sześćdziesiąt sekund wyjętych z życia wszystkich współistniejących ze mną ludzi — należało opracować niby plan wielkiej kampanii. Pierwotny koncept, choć ważny, nie starczył dla sukcesu. Nie ten jest lepszym strategiem, kto wie, że trzeba zaskoczyć przeciwnika, by go zwyciężyć, lecz ten, kto wie, jak to zrobić.

O tym, co zachodzi na ziemi nawet w jednej sekundzie, nie sposób się dowiedzieć. Wobec

takich zjawisk obnaża się mikroskopijna pojemność ludzkiej świadomości, tego bezkresnego ducha, który jest naszym tytułem do chwały, odróżniającym nas od zwierząt, umysłowych nędzarzy, zdolnych postrzegać tylko bezpośrednie otoczenie. Jakże martwi się mój pies za każdym razem, widząc że pakuję walizki, i jak mi przykro, że nie mogę mu wyjaśnić zbędności jego przygnębienia, tych skomleń, odprowadzających mnie do furtki. Nie ma sposobu, żeby zawiadomić psa, że jutro wrócę. Każde rozstanie przeżywa w ten sam cierpiętniczy sposób, z nami natomiast rzeczy mają się jakoby całkiem odmiennie. Wiemy, co jest, co może być, a o tym, czego nie wiemy, możemy się dowiedzieć. Tak sądzi się na ogół. Tymczasem współczesny świat dowodzi na każdym kroku, że świadomość to bardzo krótka kołderka; można nią przykryć jakiś mały kawałek czegoś, ale nie więcej, a problemy, jakie miewamy ze światem, są dotkliwsze od psich, bo pies, wyzbyty daru frustracji, nie wie, że czegoś nie wie, i nie rozumie, że nic prawie nie rozumie, my natomiast wiemy i to, i tamto. Jeśli zachowujemy się inaczej, to z głupoty albo z samoobludy, dla zachowania duchowego spokoju. Jednemu człowiekowi można współczuć, ewentualnie czterem, ale ośmiuset tysiącom nikt nie da rady. Liczby, jakimi posługujemy się w takich okolicznościach, to chytrze wymyślone protezy, to kij, którym ślepiec, idąc, stuka po chodniku, żeby nie wpaść na mur, ale przecież nikt nie powie, że on tym kijem widzi całe bogactwo świata, nawet w tym jego malutkim skrawku jednej ulicy. Cóż więc zrobić z tą naszą biedną, nierozciągliwą świadomością, żeby ogarnęła to, czego nie może ogarnąć? Co należało uczynić dla ukazania jednej wszechludzkiej minuty?

Nie dowiesz się, czytelniku, .wszystkiego naraz, lecz zaglądając najpierw do działowego spisu rzeczy, a potem do właściwych rubryk, dowiesz się rzeczy, które zaprą ci dech. Nie z gór, rzek i pól utworzony krajobraz, lecz z miliardów ciał ludzkich, będzie ci się ukazywał migawkowo, tak jak zwykły krajobraz ukazuje się ciemną nocą podczas burzy, gdy łyśnięcia błyskawic rozdzierają mrok i dostrzegasz przez ułamek sekundy ogrom rozpostarty ku wszystkim horyzontom. Mrok znów zapada, lecz tamten obraz wdarł ci się już w pamięć, już się go nie pozbędziesz. To porównanie można pojąć w części wizualnej, któż bowiem nie przeżył nocnej burzy, ale jak zrównać świat pokazywany nocą błyskawicami z tysiącem statystycznych tablic?

Chwył, jakim posłużyli się autorzy, jest prosty. Jest to metoda kolejnych przybliżeń. Dla demonstracji weźmy najpierw, z dwustu, dział poświęcony śmierci, a właściwie umieraniu.

Skoro ludzkość liczy niemal pięć miliardów, zrozumiałe, że w każdej minucie umierają tysiące — to nie może być żadną rewelacją. Tu wszakże uderzamy w liczby jak w mur nierozciągliwością naszego pojmowania. Łatwo to poznać, boże słowa „naraz umiera dziewiętnaście tysięcy osób” nie mają ani na włos większej wagi przeżyciowej niż wiadomość, że umiera ich dziewięć tysięcy. Niechby i milion, niechby dziesięć milionów. Reakcją, zawsze taką samą, może być tylko nieco przelęknione i niewyraźnie zatroskane „Ach”. Znajdujemy się już wśród pustki wyrażań abstrakcyjnych, które coś oznaczają, ale tego oznaczenia nie można doznać, odczuć, przeżyć, jak zawału wuja. Wiadomość o tym zawale wywoła większe wrażenie.

Lecz ów dział wprowadzi cię w umieranie na czterdziestu ośmiu stronach, przy czym najpierw idą dane sumaryczne, a potem rozbite na uszczególnienia, i jest tak, że najpierw możesz obejrzeć całą dziedzinę śmierci, jak przez słaby obiektyw mikroskopu, a potem oglądać wycinki w coraz większym zbliżeniu, jakbyś używał coraz silniejszych szkieł. Najpierw osobno idą agonie naturalne, osobno zaś spowodowane przez innych ludzi, przez omyłki, trafy losowe i tak dalej. Dowiesz się więc, ilu ludzi umiera na minutę od tortur policyjnych, a ilu z rąk sprawców wyzbytych państwowego uprawnienia. Jaki jest normalny rozkład stosowanych tortur na sześćdziesiąt sekund oraz ich geograficzna dystrybucja; jakich narzędzi używa się w tej jednostce czasu, znów z rozbiciem na poszczególne części świata,, a potem i na państwa. Dowiesz się tym samym, że kiedy wyprowadzasz na spacer psa, szukasz

pantofli domowych, rozmawiasz z żoną, zasypiasz, czytasz gazetę, tysięczny zbiór innych ludzi wyje skreślając się w agonii, w każdej kolejnej minucie każdych dwudziestu czterech godzin dnia i nocy, każdego tygodnia, miesiąca i roku. Nie usłyszysz ich krzyku, ale już będziesz wiedział, że on trwa bezustannie, bo wykazuje to statystyka. Dowiesz się, ilu ludzi ginie na minutę od pomyłki, po wypiciu trucizny zamiast niewinnego napoju, i znów statystyka uwzględnia wszelkie rodzaje tych otruc: środkami chwastobójczymi, silnymi kwasami, zasadami, a też ile spośród zgonów od pomyłki przypada na błędy kierowców, lekarzy, matek, pielęgniarek, i tak dalej. Ile noworodków, to już osobna rubryka, zabijają matki tuż po urodzeniu, z rozmysłu lub z niedbalstwa, bo są niemowlęta przytłoczone poduszką albo te, co wpadają do kloaczego dołu, gdyż czując parcie rodząca myślała, że to parcie na stolec, od niedoświadczenia lub jako niedorozwinięta umysłowo, albo znajdowała się pod działaniem narkotyku, gdy wszczął się poród, a każdy z tych wariantów ma dalsze uszczegółowienia. Na następnej stronie są noworodki umierające bez niczyjej winy, bo to niezdolne do życia potworniaki, albo ginące w łonie matki, przy łożysku przodującym czy od zadzierzgnięcia pępowiny na szyi, od pęknięcia macicy, i znów wszystkich nie wymienię. Dużo miejsca zajmują samobójcy. Sposobów pozbawiania się życia jest dziś daleko więcej niż w przeszłości i stryczki zeszły w statystyce na szóste miejsce. Zresztą ruch wewnątrz rozkładu częstości nowych metod samobójstwa zwiększył się, odkąd jako bestsellery poszły w świat podręczniki z instrukcjami, co robić, aby śmierć była pewna i szybka, chyba żeby ktoś życzył sobie powolnej, bo i to się zdarza. Możesz się nawet dowiedzieć, cierpliwy czytelniku, jaka jest korelacja nakładów tego podręcznika suicydalnej samoobsługi z normalnym rozkładem samobójczej skuteczności: dawniej bowiem, gdy brano się do tego po amatorsku, więcej samobójców można było uratować.

Potem, rzecz prosta, są agonie od raka, od zawału, od sztuki lekarskiej, od bodaj czterystu głównych jednostek chorobowych, a dalej wypadki losowe, więc zderzenia aut, śmierci od padających drzew, murów, cegieł, od zmiżdżenia przez pociąg, aż po meteory. Nie wiem, czy pocieszający jest fakt, że od spadających na Ziemię meteorów ginie się rzadko. O ile pamiętam, na minutę ginie tak zaledwie 0,0000001 człowieka. Jak widać, robota Johnisonów była solidna. Aby dokładniej pokazać dziedzinę śmierci, zastosowali metodę tak zwanej crossex-amination oraz diagonalną, czyli przekątną. Z jednych tablic można wyczytać, od jakiego zbioru przyczyn ludzie umierają, a z innych, jak umierają z jednej przyczyny, na przykład od porażenia prądem elektrycznym. Dzięki temu uwypuklone zostało nadzwyczajne bogactwo naszych śmierci. Najczęściej umiera się przez dotknięcie źle uziemionych urządzeń elektrycznych, rzadziej w kąpielu, a najrzadziej oddając mocz z mostowego przejścia dla pieszych na przewody wysokiego napięcia, gdyż to jest znów liczba tylko ułamkowa na minutę. Sumienni Johnsonowie podają w odnośniku, że umierających przy torturze prądem nie można rozdzielić na zabitych nieumyślnie (gdy zbyt silnego napięcia użyto bez intencji mordu) i z pełnym rozmysłem.

Jest też statystyka sposobów, jakimi żywi pozbywają się umarłych, od pogrzebów z trupią kosmetyką, chórami, kwieciami i religijną pompą aż po metody prostsze i tańsze. Rubryk tu wiele, bo jak się okazuje, w krajach wysoko ucywilizowanych więcej trupów wrzuca się w workach z kamieniem albo w cementowanych nogami w stare wiadra, albo pokawałkowanych i nagich do glinianek, do jezior, więcej też (to są osobne liczby) owiniętych w stare gazety bądź w zakrwawione szmaty trupów ciska się na wielkie wysypiska śmieci, aniżeli w krajach Trzeciego Świata. Ubożsi nie znają niektórych sposobów pozbywania się zwłok. Widać nie dotarły tam jeszcze razem z finansową pomocą odpowiednie dane z państw wysoko rozwiniętych. Natomiast więcej noworodków zjadają w biednych krajach szczury. Te dane mieszczą się na innej stronie, lecz aby ich czytelnik nie uronił, znajdzie kierujący gdzie trzeba odnośnik, a chcąc kosztować książkę na małe wrywki, można posłużyć się alfabetycznym spisem rzeczy, w którym jest wszystko.

Jakoś nie da się dłużej utrzymywać, że to są sterty suchych, nic nie mówiących, nudnych cyfr. Zaczyna się doznawać zdrożnego zaciekawienia, iloma innymi jeszcze sposobami ludzie umierają w każdej minucie lektury i palce przy kartkowaniu stron stają się jakby troszkę lepkie. Oczywiście potnieją, bo to nie może być przecież krew.

Śmierć z głodu jest zaopatrzona w odnośnik podający, że owa tablica (bo trzeba było osobnej tablicy, z rozbiciem na wiek zagłodzonych; najwięcej umiera dzieci) ważna jest tylko dla roku wydania książki, wielkość ta bowiem rośnie szybko, i to w postępie arytmetycznym. Śmierć z przejedzenia też się wprawdzie zdarza, lecz jest 119 000 razy rzadsza. W tych danych jest coś z ekshibicji i coś z szantażu. Właściwie miałem ochotę tylko zerknąć do tego działu, lecz czytałem go potem jakby od przymusu, tak jak człowiek czasem odlepia sobie opatrunek od krwawiącej rany, żeby ją zobaczyć, albo dłubie szpilką w dziurze bolącego zęba. To boli, ale trudno przestać. Te cyfry są jak środek bez zapachu i smaku, powoli wsącżający się w mózg. A przecież ja tu omal żadnej nie wymieniłem i nie zamierzam wyliczać choćby głównych działów marazmu, uwiadu, kalectw, narządowych zwyrodnień, bo zacząłbym cytować książkę, gdy mam tylko napisać z niej recenzję.

Właściwie jednak te uporządkowane rubrykami, ustawione w tablicach słupki cyfr o wszystkich rodzajach. Śmierci, te ciała dzieci, starców, kobiet, noworodków wszystkich narodowości i ras, bezmaterialnie obecne poza kolumnami liczb, nie są główną sensacją tej książki. Napisawszy to zdanie zastanowiłem się, czy mówię prawdę, i powtórzę: nie, nie są. Z całym tym ogromem konania ludzkiego jest tak trochę, jak z własną śmiercią: jakby się już o tym uprzednio wiedziało, a tylko Ogólnikowym i mglistym sposobem, którym pojmujemy nieuchronność własnej agonii, choć nie znamy jej wyglądu.

Właściwy ogrom życia w jego cielesności ukazuje się już od pierwszych stron. Podane tam fakty są nie do podważenia. Można bowiem w końcu powątpiewać, czy dane działu umierania są ścisłe. Opierają się wszak na przeciętnych. Trudno uwierzyć, żeby taksonomia i kauzalistyka zgonów były uchwycone z pełną dokładnością. Zresztą lojalni autorzy wcale nie ukrywają przed nami możliwych odchyłeń statystycznych. Już wstęp bardzo porządnie opisuje metody użyte do obliczeń, a nawet zawiera wzmianki o zastosowanych po temu komputerowych programach. Metody te nie wykluczają tak zwanych standardowych dewiacji, ale one nie mają żadnego znaczenia dla tego, kto czyta, bo cóż właściwie za różnica, czy na minutę umiera siedem tysięcy osiemset noworodków, czy osiem tysięcy sto? Zresztą te odchylenia mają być nikłe przez tak zwany efekt bilansowego —zatarcia. Wprawdzie ilość porodów (skoro się już o nich powiedziało) jest niejednakowa w różnych porach roku i doby, ale na ziemi wszystkie pory dnia, nocy i roku współlistnieją nieraz, więc suma przyporodowych śmierci pozostaje stała. Są jednak rubryki z danymi od wnioskowania pośredniego i okólnego, bo na przykład ani policje państwowe, ani prywatni mordercy, zawodowi czy amatorzy (z wyjątkiem ideowych), nie ogłaszają danych o efektywności swej pracy. Tam błąd wielkości istotnie może być spory.

Natomiast statystyki pierwszego działu są niepodważalne. Podają, ile jest ludzi, a tym samym żywych ciał ludzkich w każdej minucie, wyjętej z 525 600 minut każdego roku. Ile jest ciał, to znaczy: ile mięśni, kości, żółci, krwi, śliny, płynu mózgowo-rdzeniowego, kału i tak dalej. Jak wiadomo, kiedy rząd wielkości do uzmysłowienia jest bardzo duży, popularyzator chętnie ucieka się do obrazowych zestawień, i to samo robią Johnsonowie. Gdyby więc całą ludzkość zebrać i stłoczyć w jednym | miejscu, zajęłaby trzysta miliardów litrów, czyli niespełna jedną trzecią kilometra sześciennego. Niby dużo. Ocean światowy zawiera wszakże miliard dwieście osiemdziesiąt milionów kilometrów sześciennych wody, więc gdyby całą ludzkość, tych pięć miliardów ciał, rzucić do oceanu, jego poziom nie podniesie się nawet o jedną setną milimetra. Po tym jednym pluśnięciu ziemia i stałaby się na zawsze bezludna. Takie zabawy ze statystyką można uznać słusznie za dość tanie. Mają niby służyć refleksji, że my, którzyśmy rozmachem naszych działań zatruli powietrze, glebę,

morza, ustępowili dżungłę, wytrzebili miliardy gatunków zwierząt i roślin, które żyły przed setkami milionów lat, dosięgli innych planet i zmienili nawet albedo Ziemi, objawiając w ten sposób naszą obecność obserwatorom kosmicznym, moglibyśmy zniknąć tak łatwo i bez śladu. Mnie to jednak nie zafrapowało, podobnie jak wyliczenie, że z ludzkości można by wytoczyć 24,9 miliardów litrów krwi i nie byłoby to ani czerwone morze, ani nawet jezioro.

Dalej, pod zaczerpniętym z Eliota mottem, że egzystencja to „*birth, copulation and death*”, idą nowe cyfry. W każdej minucie kopuluje 34,2 milionów mężczyzn i kobiet. Do zapłodnienia dochodzi tylko w 5,7 procenta stosunków, lecz łączny ejakulat o objętości 45 000 litrów na minutę zawiera bilion dziewięćset dziewięćdziesiąt milionów (z odchyleniami na ostatnim miejscu) żywych plemników. Taka właśnie ilość kobiecych jajeczek mogłaby ulegać zapłodnieniu sześćdziesiąt razy na każdą godzinę przy minimalnej proporcji jednego plemnika na jedno jajeczko, i wówczas, w tym niemożliwym przypadku, w każdej sekundzie zostałyby poczęte trzy miliony dzieci. Te dane są jednak też tylko statystyczną manipulacją. Pornografia i nowożytny styl życia oswoiły nas z postaciami życia seksualnego. Myślałby kto, że już niczego nie można w nim obnażyć, niczego takiego ukazać, co byłoby zaskakującą nowością. Ogarnięte statystyką jest przecież zaskoczeniem. Mniejsza o znów zastosowaną zabawę zestawień: jakoż strumień spermy, tych 43 ton, wstrzykiwanych na każdą minutę do kobiecych genitaliów, to 430 000 hektolitrów, które tablica zestawia z 37 850 hektolitrami wrzątku, jakimi bije przy każdej erupcji największy gejzer świata (w narodowym parku Yellowstone). Gejzer spermy jest 11,3 raza obfitszy i bije bez żadnych przerw. Obraz nie jest sprośny. Człowiek może być pobudzony seksualnie tylko wewnątrz określonej skali wielkości. Akty kopulacji, zarówno demonstrowane w silnym pomniejszeniu, jak w wyolbrzymieniu, nie wywołują wcale pobudzenia płciowego. Pobudzenie to powstaje jako odruch w odpowiednich ośrodkach mózgu, będąc reakcją wrodzoną i nie pojawia się w warunkach wykraczających z normy wizualnej. Akty ujrzone w pomniejszeniu są obojętne, pokazują bowiem istotki o rozmiarach mrówek. W wyolbrzymieniu zaś budzą odrazę, bo najgładsza skóra najpiękniejszej kobiety Wygląda wówczas jak porowata biaława powierzchnia, z której sterczą włosy grube jak kły, a z wylotu gruczołów łojowych wydobywa się lepka lśniąca maź. Zaskoczenie, o jakim wspomniałem, ma inną przyczynę. Ludzkość przetłacza sercami 53,4 miliardów litrów krwi na minutę i ta czerwona rzeka nie dziwi, toż musi płynąć, podtrzymując życie. W tymże czasie męskie narządy wydzielają 43 tony nasienia i rzecz w tym, że wprowadzie każda ejakulacja także jest zwykłym aktem fizjologicznym, lecz dla jednostki nieregularnym, intymnym i nie nazbyt częstym, a nawet niekoniecznym. Toż są miliony starców, dzieci, ludzi żyjących w wybranym bądź narzuconym celibacie, chorych i tak dalej. A jednak ten biały strumień płynie z tą samą stałością co tamto czerwone dorzecze. Nieregularność znika bowiem, gdy statystyka ogarnia całą ziemię, i to zadziwia. Ludzie siadają do zastawionych stołów, szukają odpadków po śmietnikach,— modlą się w zborach, meczetach, kościołach, lecą samolotami, jadą w autach, tkwią w łodziach podwodnych z raketami atomowymi, obradują w parlamentach, miliardy śpią, kondukty pogrzebowe idą cmentarzami, wybuchają bomby, lekarze pochylają się nad stołami operacyjnymi, tysiące wykładowców naraz wstępuje na katedry, kurtyny teatralne wznoszą się i opadają, powodzie zalewają pola i domy, toczą się wojny, traktory spychają na pobożowiskach umundurowane trupy do rowów, grzmi, błyska, jest noc, dzień, świt, zmierzch, lecz cokolwiek się dzieje, zapładniający strumień 43 ton spermy płynie bez ustanku i prawo wielkich liczb gwarantuje, że jest tak samo stały, jak wielkość padającej na ziemię energii słonecznej. Jest w tym coś zarazem mechanicznego, niewzruszonego i zwierzęcego. Nie wiadomo, jak pogodzić się z obrazem ludzkości, tak niewzruszenie kopulującej wewnątrz wszystkich kataklizmów, jakie ją spotykają i jakie sama sobie sprokurowała.

Otóż to. Proszę zrozumieć, że książki, która jest zgniczeniem ludzkich rzeczy do ostatka, czyli do samych liczb (nie znamy żadnego idącego jeszcze dalej sposobu stłoczenia

jakichkolwiek zjawisk), nie można streścić. Wszak ta książka sama jest już ekstraktem, krańcowym streszczeniem ludzkości. Nie można w recenzji nawet wspomnieć o najosobliwszych działach. Choroby umysłowe: okazuje się, że dziś jest na minutę więcej obłąkanych, niż w ogóle wszystkich ludzi żyło na ziemi kilkanaście pokoleń temu. To jakby cała ówczesna ludzkość dziś składała się wyłącznie z szaleńców. Schorzenia nowotworowe, które w mojej pierwszej pracy lekarskiej nazwałem 35 lat temu „obłądem somatycznym”, jako samobójczym zwróceniem się ciała przeciw samemu sobie, są wyjątkiem z reguły życia, omyłką jego dynamiki, ale ten wyjątek, ogarnięty statystyką, to olbrzymi moloch, ta masa rakowatych tkanek, przeliczonych na minutę, jest jakby świadectwem ślepoty procesów, które powołały nas przecież do istnienia. Obok, kilka stron dalej, są rzeczy bardziej ponure. Działów poświęconych aktom przemocy, gwałtu, perwersjom seksualnym, dziwacznym kultom, mafiom, związkom nie tknę nawet słowem. Obraz tego, co ludzie czynią z ludźmi, żeby ich udrećzać, upokarzać, niszczyć, wyzyskiwać w chorobie, w zdrowiu, w starości, w dzieciństwie, w kalectwach, i to bezustannie, w każdej minucie, może osłupić nawet przysięgłego mizantropa, któremu się zdawało, że żadna ludzka nikczemność nie jest mu obca. Ale dość o tym. Czy ta książka była potrzebna? Członek Akademii Francuskiej napisał w „Le Monde”, że była nieuchronna, że musiała się pojawić. Ta nasza cywilizacja, pisał, która wszystko mierzy, przelicza, ocenia, waży, przekracza wszelkie przykazania i zakazy, chce wszystko wiedzieć, lecz coraz bardziej ludna, jest tym samym coraz mniej przejrzysta dla samej siebie. Na nic nie rzuca się z taką zaciekłością jak na to, co wciąż jeszcze stawia jej opór. Nic zatem dziwnego w tym, że chciała mieć własny portret, tak wierny, jakiego jeszcze nie było, i tak samo obiektywny — obiektywizm to przecież nakaz rozsądku i dnia — więc, za sprawą technicznej modernizacji, otrzymała zdjęcie, jakie robi się reporterską kamerą: migawkowe i bez retuszu. Starszy pan zastąpił pytanie o potrzebę Jednej minuty unikiem: ukazała się, bo jako płód swego czasu musiała się ukazać. Pytanie jednak pozostaje. Zastąpiłbym je skromniejszym: czy ta książka doprawdy pokazuje to, co jako cała ludzkość nie jest do ukazania? Tablice statystyczne zastępują dziurkę od klucza, a czytelnik jak Peeping Tom podpatruje olbrzymie, nagie ciało ludzkości, zajętej swymi powszednimi sprawami. Przez dziurkę od klucza nie można zobaczyć wszystkiego naraz. Co może ważniejsze, podglądający staje jakby oko w oko nie tylko z całym swym gatunkiem, lecz z jego losem. Trzeba przyznać, że Jedna minuta zawiera moc frapujących danych antropologicznych, w działach kultur, wier, rytuałów i obyczajowości, bo choć to są tylko cyfrowe zbitki (a może właśnie przez to), prezentują zdumiewającą różnorodność ludzi, tak przecież tożsamy anatomią i fizjologią. Dziwne, że nie można przeliczyć ilości języków, jakimi ludzie się posługują. Nie wiadomo dokładnie, ile ich jest, wiadomo tylko, że ponad cztery tysiące. Wszystkich nie zidentyfikowali dotąd nawet specjaliści, a rzecz tym trudniej ustalić, że niektóre języki małych grup etnicznych wymierają wraz z nimi, ponadto zaś językoznawcy toczą spory o status pewnych języków. Jedni uważają je za dialekty i gwary, a inni za osobne jednostki taksonomiczne. Lecz takich miejsc, w których Johnsonowie wyznają konieczność kapitulacji w przeliczeniu wszelkich danych na minutę, jest mało. Mimo to doznaje się — przynajmniej ja doznawałem niejakej ulgi właśnie tam. Rzecz ma swój filozoficzny korzeń.

W elitarnym niemieckim periodyku literackim spotkałem się z krytyką Jednej minuty, napisaną przez gniewnego humanistę. Książka umonstrialniła ludzkość, powiedział, bo zbudowała górę mięsa z ciał, krwi i potu (pomiaru istotnie objęły, poza defekacją i krwawieniami menstruacyjnymi, różne rodzaje potu, gdyż inaczej poci się człowiek przerażony, a inaczej ciężko pracujący), uprzednio amputowawszy tym ciałom głowy. Życie duchowe nie równa się bowiem ani ilości książek i gazet, jakie ludzie czytają, ani słów, jakie wygłaszają na minutę (jest to liczba astronomiczna). Cyfrowe zestawienia, frekwencji teatralnej bądź telewizyjnej ze stałą agonialną, ejakulacyjną itp. wprowadzają w błąd, i jest to błąd nadzwyczaj gruby. Ani orgazm, ani agonia nie są zjawiskami swoiście jak i; wyłącznie

ludzkimi. Co więcej, wyczerpują się treściowo wewnątrz fizjologii. Natomiast dane specyficznie ludzkie, jako treści psychiczne, nie tylko nie wyczerpują się, ale nie są nawet uwzględnione w cyfrach nakładu pism albo dzieł filozoficznych. To jakby ktoś podawał temperaturę ciała za temperaturą uczuć miłosnych, albo pod hasłem „akty” umieścił obok siebie akty jako zdjęcia nagich ludzi i jako „akty strzeliste wiary. Ten kategoriałny chaos nie jest przypadkiem, gdyż autorom właśnie szło o zaszokowanie czytelników paszkwilem sporządzonym ze statystyki. O ponizienie, gradem cyfr, nas wszystkich. Być człowiekiem znaczy to najpierw mieć życie duchowe, a nie mieć anatomię, podległą dodawaniu, dzieleniu i mnożeniu. Sam fakt, że nie da się pomierzyć życia duchowego i ująć go jakkolwiek statystyką, czyni fałszem uroszczenia autorów, że sporządzili portret ludzkości. W buchalteryjnym rozparcelowaniu miliardów ludzi na czynnościowe kawałki, żeby pasowały do rubryk, widnieje sprawność patologa, sekcjonującego trupy, a bodaj j złośliwość. Przecież wśród tysięcy haseł indeksu w ogóle nie ma takiego, jak „godność ludzka”.

Korzeń filozoficzny, o jakim wspomniałem, naciął też inny krytyk. Odniosłem wrażenie (dodaję to nawiasem), że Jedna minuta wprowadziła intelektualistów w niejaki popłoch. Uznawali się w prawie pomijania takich produktów masowej kultury jak Księga rekordów Guinnessa, lecz Jedna minuta wbiła im klin w głowy. Rozważni czy tylko chytry Johnsonowie wyśrubowali bowiem swoje dzieło na znaczną wyżynę uczonym metodycznym wstępem. Uprzedzili też wiele zarzutów, powołując się : na myślicieli współczesności, zwących prawdę — naczelną wartością w kulturze. Skoro tak, to dozwolona, . a nawet konieczna jest wszelka prawda, włącznie z najbardziej deprymującą. Krytyk—filozof wszedł więc na tego wysokiego konia po strzemienu utrzymanym przez Johnsonów i najpierw ich docenił, a potem przyniszczył. Zostaliśmy potraktowani — pisał w „Encounter” — i prawie dosłownie tym sposobem, którego tak bardzo lękał się Dostojewski we Wspomnieniach człowieka z lochu. Dostojewski sądził, że zagraża nam dowodzony przez naukę determinizm, który wyrzuci na śmietnik suwerenność jednostki, widomą w jej wolnej woli, kiedy ta nauka będzie umiała przewidzieć każdą decyzję i każde uczucie jak poruszenie mechanicznego klawisza. „Nie widział innej rady, innego ratunku przed okrutną przewidywalnością naszych uczynków i myśli, która pozbawi nas wolności, jak obłąd. Jego Człowiek z Lochu gotował się zwariować po to, by jego umysł, rozprzężony obłądem, nie uległ triumfującemu determinizmowi. Otóż determinizm ten, marnota dziewiętnastowiecznych racjonalistów, upadł i już nie powstanie, lecz z niespodziewaną skutecznością zastąpiła go teoria prawdopodobieństwa ze statystyką. Losy jednostek są równie nieprzewidywalne jak losy poszczególnych cząstek gazu, lecz z ogromu liczby jednych i drugich wynikają prawidłowości dotyczące wszystkich naraz, chociaż nie odniesione do żadnej pojedynczej molekuly lub człowieka. Nauka dokonała zatem po upadku determinizmu manewru okrążającego i dobrała się nim do Człowieka z Lochu z innej strony. To niestety nieprawda, że w Jednej minucie nie ma nawet śladu duchowego życia ludzkości. Tak szczelne zamykanie tego życia w głowie, żeby nie manifestowało się poza nią inaczej niż słowami, to zrozumiały zawodowo nawyk literatów i innych intelektualistów, stanowiących (jak podaje książka) mikroskopijną, bo milionową cząsteczkę ludzkości. Życie to przejawia 99% ludzi czynami jak najbardziej wymiernymi i byłoby błędem ze szlachetności odmawiać psychicznych treści psychopatom, mordercom i stręczycielom, tak samo jak woziwodom, kupcom czy tkaczkom. Nie o mizantropijnych intencjach autorów wolno więc mówić, lecz najwyżej o ograniczeniach właściwych użytej przez nich metodzie. Oryginalność Jednej minuty w tym, że nie jest statystyką bilansującą, czyli informacją o zdarzeniach już minionych, jak każdy zwyczajny rocznik statystyczny, lecz synchroniczną z ludzkim światem. Jak komputer tego typu, który zwiemy komputerem pracującym w czasie realnym, czyli urządzeniem śledzącym zjawiska, w które go wycelowano, współbieżnie z tempem ich zachodzenia.

Uwieńczywszy w ten sposób autorów, krytyk z „Encounter” przyciął jednak ‘część

laurów, jakimi ich obdarzył, biorąc się za wstęp. Dyrektywa prawdomówności, którą szermują Johnsonowie, żeby obronić Jedną minutą przed zarzutami drastycznej wulgarności albo i paszkwilu, brzmi ładnie, ale jest niewykonalna w praktyce. Książka nie zawiera „wszystkiego o człowieku”, bo to niemożliwe. „Wszystkiego” o nim nie zawierają największe biblioteki świata. Ilość danych antropologicznych wykrytych przez naukowców jest już taka, że od dawna wykracza poza asymilacyjne możliwości jednostki. Podział pracy, także umysłowej, zapoczątkowany ze trzydzieści tysięcy lat temu w paleolicie, stał się zjawiskiem nieodwracalnym i nie ma na to rady. Oddaliśmy, chcąc nie chcąc, nasze losy w ręce ekspertów. Politycy to przecież też swego rodzaju eksperci, tyle że samozwańcy. Nawet to, że kompetentni eksperci służą lub wysługują się politykom o miernej inteligencji i nędznym darze przewidywania, nie jest zbyt wielką biedą, bo i wśród ekspertów pierwszej klasy nie ma zgody w żadnej z naczelných spraw świata. Nie wiadomo więc, czy logokracja skłóconych ekspertów byłaby lepsza od rządów miernot, jakim podlegamy. Pogarszająca się umysłowa jakość przywódczych elit politycznych to skutek rosnącej złożoności świata. Ponieważ ogarnąć go w pełni nie może nikt, choćby obdarzony był największą mądrością, do władzy pchają się ci, co wcale się tym nie martwią. Nie przez przypadek nie ma w Jednej minucie, w dziale sprawności umysłowych, wskaźników inteligencji wybitnych, rządzących mężów stanu. Nawet wszędobylskim Johnsonom nie udało się poddać tych ludzi testom inteligencji.

Mój pogląd na tę książkę jest mało dramatyczny. Można nad nią rezonować na bezlik sposobów; świadczy o tym przedstawiona wyżej próbka. Nie jest to, myślę sobie, ani złośliwy paszkwil, ani rzetelna prawda. Ani to karykatura, ani lustro. Asymetrii Jednej minuty, czyli tego, że haniebnego zła ludzi jest w niej nieporównanie więcej niż objawów dobra i biednej brzydoty naszej egzystencji niż jej piękna, nie przypisuję ani intencji autorów, ani metodzie. Książka może zdeprymować tylko tych, którzy w przedmiocie Człowieka wciąż żywią rozmaite iluzje. Asymetria dobra i zła dałaby się chyba ująć nawet w zestawieniu liczbowym, na co Johnsonowie jakoś nie wpadli. Działy występku, zbrodni, oszustwa, kradzieży, wyłudzeń, szantażu, włącznie z najnowszym rodzajem przestępstw zwanych komputerowymi (chodzi o taką manipulację tym elektronicznym przedłużeniem prac umysłowych, która przynosi sprzeczne z prawem zyski programistom, a ostatnio poszerzyła się o czyny, jakich na razie za przestępstwa nie można uznać podług zasady „*nullum crimen sine lege*”, więc nie jest przestępstwem ten, kto używa olbrzymiej mocy obliczeniowej maszyn, żeby zwiększyć szansę wygranej na loterii lub w grach hazardowych: paru matematyków wykazało, że można rozbić bank w ruletce, analizując ruchy kulki w rulecie, żadna ruleta nie jest bowiem urządzeniem idealnie losowym, czyli wykazuje odchylenia od teoretycznego oczekiwania matematycznego wyników, co można komputerowo ustalić i wykorzystać), są bowiem daleko rozleglejsze od działów poświęconych aktom „samarytańskim”. Autorzy nie zestawili odpowiednich liczb w jednej tablicy, a szkoda. Ujawniłoby to wyraźnie, o ile bardziej wielopostaciowe jest zło od dobra. Pomagać innym można na mniej sposobów, niż im szkodzić, bo taka jest natura rzeczy, a nie metoda statystyczna. Świat nasz nie tkwi w połowie drogi między piekłem a niebem, zdaje się bowiem znacznie bliższy pierwszemu. Nie mając jednak w tym względzie iluzji, i to od dawna, nie poczułem się zgorzony tą książką.

Berlin 1982